

WSPOMNIENIA Z REWIRU W GROSS-ROSEN

Z Oświęcimia przywieziono nas do Gross-Rosen 6 czerwca 1942 r. Transport liczył 500 więźniów. Transportu tego mogłem uniknąć, gdyż kapo z komanda Buna-Werke dowiedziawszy się o transporcie, podszedł do mnie i zaproponował pozostanie nadal w jego setce i wyprowadzenie przez bramę sprzed kuchni, gdzie selekcja ta odbywała się. Z propozycji tej nie skorzystałem. Jak się później dowiedziałem, dwóch moich kolegów, którzy pozostali w Oświęcimiu, zostało straconych w październiku 1942 r. Ominęła mnie więc niechybna śmierć.

Ale samo powitanie w Gross-Rosen i pierwsze dni pobytu przekonały mnie, że trafiłem z przysłowiowego "deszczu pod rynnę". Nic też dziwnego, że już w pierwszych tygodniach morderczej pracy w kamieniołomach stałem się "muzulmanem" po raz drugi /po Oświęcimiu jesienią 1941 r./. Na domiar złego spuchły mi nogi do tego stopnia, że otrzymane jako strój więziarski bryczesy po jeńcach radzieckich musiałem rozciąć powyżej kolan, ponieważ nie mogłem ich ani ubrać, ani zasznurować.

W takim stanie - w upalny dzień lipca 1942 r., zaryzykowałem udać się na rewir. Na korytarzu sanitariusz /pamiętam, Austriak z czerwonym winklem/, zobaczywszy moje spuchnięte nogi doradził, aby spodnie zawinąć powyżej kolan. Samo przyjęcie trwało bardzo krótko, bo młody mężczyzna w mundurze SS - mógł być co najwyżej studentem medycyny - odłożywszy sprzed oczu gazetę, zawyrokował: "zapisać, a cięcie w następny poniedziałek".

Znalazłem się więc na 1 rewirze, w którym były małe pokoiki z trzema ustawionymi pod ścianami dwupiętrowymi łózkami. Po środku pozostało wąskie przejście. Sztubowy wskazał mi środkowe łóżko i mimo prośby o dolne łóżko otrzymałem odpowiedź, że to nie sanatorium, i stąd wychodzi się tylko do krematorium.

Jak wspominałem, ówczesny lipiec był upalny, a w naszym baraku - mimo otwartego okna - duszno. Po prostu nie było czym oddychać. O chronicznym głodzie już nie wspominał, bo nadmierna praca przez 12 godzin dziennie oraz 6 godzin w niedziele i święta, spowodowała, że byłem bardzo bliski końca swego życia. Głód spotęgował się już w pierwszym dniu pobytu na rewirze.

Miałem więc dość czasu na przemyślenie swojej decyzji z Oświęcimia, gdzie mieliśmy częste kontakty z ludnością polską - podówczas jeszcze nie wysiedloną - wokół fabryki Buna-Werke, którą budowaliśmy i dość często można było coś do zjedzenia "zorganizować". Nogi jednak przypominały, że jest źle i opuchlizna już nie była czerwona, a fioletowa. W drugim lub trzecim dniu pobytu, przy schodzeniu z łóżka pękła mi skóra w okolicy kostki lewej nogi i obficie polała się materia o nieprzyjemnym zapachu, a spora ilość tej materii wylała się na łóżko parterowe. Oberwałem za to kilka szturchańców od sztubowego, po czym udałem się do ambulansu, w którym zastałem spotkanego wcześniej sanitariusza. Zawinął mi nogę papierowym bandażem i kazał szybko uciekać na sztubę, ponieważ bandaże zmieniane są tylko raz w tygodniu. Poprosiłem go jeszcze o kawałek ceratki, bo zapewne materia zaleje łóżko.

Upały trwały dalej.

Wokół rany zacząłem odczuwać swędzenie, więc starałem się na

swój sposób jakoś neutralizować je sądząc, że rana zaczyna się goić. Tymczasem w trzecim lub czwartym dniu swędzenie spotęgowało się do tego stopnia, że włożyłem palec pod bandaż, by je osłabić. Jakież przerażenie ogarnęło mnie, kiedy spod bandaża na ceratkę wypadło kilka robaków. Poszedłem naturalnie do znanego sanitariusza prosząc o zmianę bandaża, bo bardzo gorąco. Tym razem potraktował mnie życzliwie i rozwinął bandaż, a zobaczywszy w ranie gniazdo robactwa, złapał się za głowę i wykrzyknął: "Toż siebie, chłopcze, robaki już za życia niszczą!". Od tego dnia wybierałem stosowne chwile i na zmianę bandaża chodziłem prawie codziennie.

Mimo, że przez samoistnie powstałą ranę wypłynęło dużo materii, to jednak musiałem iść do mego pseudo-lekarza na cięcie nogi. Zabieg odbył się bez żadnych środków znieczulających czy dezynfekcyjnych. Cięcie wykonał obok istniejącej rany - moim zdaniem całkowicie zbędne, bo z rany tej polała się krew. Mam więc do dziś dwie blizny na nodze. Dzięki systematycznej opiece mego sanitariusza, robaków w ranach już więcej nie było, ale samo gojenie trwało wiele miesięcy, do drugiej połowy roku następnego.

Z rewiru wypisano mnie pod koniec sierpnia z otwartymi ranami, a wracając na mój macierzysty blok 8 byłem tak słaby, że kilkustopniowe schody musiałem pokonać na czworaka. Ważyłem wówczas 47 kg - przy wzroście 172 cm. Pod koniec 1942 r. zezwolono na otrzymywanie paczek żywnościowych /widocznie z powodu olbrzymiej śmiertelności wśród więźniów/ i stan mego zdrowia wyraźnie się poprawił, otrzymywałem bowiem paczki z dwóch źródeł /od żony i siostry/.

W tym samym czasie z wielką ulgą dowiedzieliśmy się o przeniesieniu ówczesnego Lagerführera Thumana na Majdanek. Na jego miejsce przydzielono nowego - Ernsbergera, który - jak się później okazało, pełnił tę funkcję do mojej ewakuacji 8 lutego 1945 r. /do Dory Nordhausen/. Za jego to rządów znacznie wzrosła ilość likwidowanych więźniów, których uśmiercano zastrzykami z fenolu.

Nr archiwum 4.6.77.

POBYT W REWIRZE

Już kilkanaście dni pracowałem w kamieniołomach, nie mając żadnej nadziei na lepsze zajęcie, gdy niespodziewanie przyplątały mi się niedyspozycje żołądkowe. Wydawało mi się, że z każdym dniem opadam z sił, a dolegliwości nie ustępują. Czułem, że zaczyna się ze mną dzieć coś niedobrego. Trochę zbijało mnie to z tropu, ale wmawiałem sobie sakramentalną zasadę, którą zawsze powtarzano na Pawiaku, że w obozie przede wszystkim nie wolno załamać się. Niestety wbrew mojemu optymizmowi okazało się, że jest to typowa choroba obozowa, durchfall. Na szczęście nie wiedziałem jeszcze wtedy, że właśnie te przypadłości są przyczyną masowych zgonów więźniów obozów koncentracyjnych.

Właściwie nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, które mi groziło, ucieszyłem się nawet, że mam obecnie doskonały pretekst do ulokowania się w izbie chorych. Do szpitala jednak bardzo ciężko było się dostać. W zasadzie większa część naszego komanda powinna byłaby się tam znaleźć. Postanowiłem jednak spróbować szczęścia. Dziwnym zbiegiem okoliczności ogłoszono, że tego dnia na apelu wieczornym nasze komando ma stawić się przed jakąś komisją lekarską. Kilku esesmanów siedziało przed stolikiem naprędce ustawionym między blokami; podchodziliśmy pojedynczo. Wybierali słabszych i chorych; niewydajnych w pracy mieli gdzieś wysłać. Pomyślałem, że może akurat dobrze się złożyło, bo czułem, że w obecnym stanie w kamieniołomach długo bym już nie pociągnął. Mój numer został także odnotowany. Podobno jest to transport do Revierlagru, tam ma być zapewniona pełna opieka lekarska i lepsze warunki.

Doświadczony niedawną podróżą z Warszawy obawiałem się wszelkich transportów. Ten miał odejść jeszcze tej nocy. Kierowany jakąś dziwną intuicją postanowiłem zrobić coś, za wszelką cenę, żeby się jednak z tej nowej sytuacji wykręcić, ale pytanie jak to zrobić, skoro zapisano już mój numer. Nikogo tu nie znam i na niczyją pomoc liczyć nie mogę. Jechać nie wiadomo dokąd i w jakich warunkach, znowu zupełnie w nieznane, jeszcze w tym stanie zdrowia, wydawało mi się bardzo ryzykowne. Tak rozmyślając udałem się w kierunku bloku. Po drodze przechodziłem obok rewiru pierwszego, gdzie odbywały się przyjęcia chorych do szpitala. Stał tam zbity i skotłowany tłum ludzi. Wszyscy tłoczyli się i przepychali pod drzwiami. W tych warunkach dostanie się do izby chorych było prawie że niemożliwe. Postanowiłem jednak podjąć próbę w głębokim przeświadczeniu, że musi się udać. W drzwiach wejściowych na rewir dyżurujący pfleger opędał się przed atakującymi go ze wszystkich stron "muzułmanami", starając się im bezskutecznie tłumaczyć swoją kompletną bezradność. Mimo to rozpocząłem usiłowania, aby przedrzeć się w kierunku wejścia. Spostrzegłem, że pfleger stojący na wysokim progu ma literę "P", a więc zapewne musi być Polakiem /Zygmunt Targalski - oświęcimiak/. Z trudem i ogromnym wysiłkiem prześlizgiwałem się centymetr po centymetrze w kotłowniku ciał coraz bliżej.

Niemałego wysiłku i uporu wymagało, by znaleźć się wreszcie zupełnie blisko wejścia i wtedy dyżurujący pfleger spostrzegł mnie. Ujrzałem grymas zdziwienia na jego twarzy, a następnie wyciągnę-

tą dłoń. Chwyciłem ją mocno i w ten sposób dostałem się do drzwi wejściowych. Pierwsze jego słowa brzmiały dość przychylnie: "Co ty, chłopcze, tu robisz? Jak się tu znalazłeś?" - zapytał. Nie tracąc ani chwili czasu w obawie, że mogę być z powrotem wciągnięty przez tłum, powołałem się z nadzieją, że może to coś pomóc, na mojego ojca. Ponieważ ojciec pracował w Centrum Wyszkożenia Sanitarnego, zapytałem, czy nie ma tu wojskowych lekarzy z Warszawy, którzy na pewno by go znali. Gdy podałem swoje nazwisko, pfleger wepchnął mnie głębiej do korytarza, a sam zniknął na chwilę, polecając mi poczekać. Wrócił niebawem w towarzystwie więźnia ubranego w białe fartuch. Był to doktor, pułkownik Stanisław Konopka, który dobrze znał mojego ojca. Zadał mi szereg krótkich pytań, wszystko się zgadzało. Po dokonaniu wymaganych formalności już nie wróciłem na blok, dostałem się zaraz na rewir, unikając dzięki temu transportu do Revierlagru. Miałem zresztą dobre przeczucia i dużo szczęścia. Jak mi wyjaśniono, pod kryptonimem Revier-lagru kryła się wysyłka do komór gazowych, których tu na miejscu nie było.

Dopiero teraz, gdy cel został osiągnięty i uświadomiłem sobie, że następnego dnia nie pójdę do kamieniołomów, nastąpiło pełne odprężenie, poczułem, jak jestem słaby i wyczerpany. Okazało się, że dostanie łóżka to nie taka prosta sprawa. Rewir był zawsze przeładowany i już zacząłem się obawiać, aby mnie nie cofnięto z powrotem na blok, ale po długich korowodach jakoś znalazło się wolne miejsce. W niedużej sali, gdzie zostałem ulokowany, stało kilka dwupiętrowych drewnianych prycz. Leżeli na nich nieruchomo wychudzeni, wynędzniali ludzie, ledwo że dający oznaki życia. Moje miejsce znajdowało się na piętrze, tuż przy drzwiach. Gdy zmierzono mi temperaturę, z przerażeniem stwierdziłem, że mam wysoką gorączkę. Wkrótce otrzymałem kolację, znacznie lepszą niż na bloku. Była to kasza na mleku lub coś w tym rodzaju, wreszcie jakieś ludzkie jedzenie. Od razu poczułem się lepiej i bezpieczniej. Już przeszło miesiąc oprócz zupy z brukwi lub gotowanych pokrzyw nic innego nie miałem w ustach. Byłem nieomal szczęśliwy, pełen dobrych myśli i nadziei, że zła passa wreszcie się skończyła. Po raz pierwszy od tak dawna mogłem sam wygodnie, spokojnie wyciągnąć się w łóżku na prześcieradle, tak rozmyślając zasnąłem w błogim nastroju.

Moje dolegliwości, mimo troskliwej opieki, nie ustępowały tak szybko, jak to sobie początkowo wyobrażałem. Zresztą większość chorych z naszej sali miała te same durchfalowe przypadłości, a leżeli już parę tygodni, bez wielkiej nadziei poprawy. Nowi przybywali, jeżeli ktoś umarł, i w ten sposób zwalniało się łóżko. Wydarzało się to prawie codziennie. I tak mijał dzień za dniem, aż kryzys zaczął powoli przechodzić i poczułem się silniejszy. Ale teraz wyłania się nowa obawa, co stanie się, gdy wyzdrowieję i będę musiał powrócić na blok, do pracy w kamieniołomach. Przerażała mnie bardzo ta perspektywa, chociaż pan Targalski zapewniał, że doktor Konopka wraz z profesorem Michałowiczem zastanawiają się, w jaki sposób zatrzymać mnie na rewirze dłużej i z pewnością coś wymyślą.

Objawy mojej choroby minęły już zupełnie, ale czułem się w dalszym ciągu bardzo osłabiony i wyczerpany. Przepisy obozowe nie pozwalały jednak na odbycie dłuższego okresu rekonwalescencji, musiałem zostać niebawem wypisany ze szpitala. Ale ku mojej radości zgodnie z zapowiedziami pana Targalskiego rzeczywiście znalazło się rozwiązanie, dopisano mi fikcyjną chorobę i przeniesiono na rewir piąty. Z braku innych możliwości zostałem chwilowo ulokowany na tymczasowo dostawionym łóżku w jakimś korytarzyku wraz z chłopakiem, moim rówieśnikiem, chorym na gruźlicę. Nie była to

gruźlica otwarta, więc niezaraźliwa. Chłopak pochodził chyba z bardzo dobrze sytuowanego domu i niedługo przebywał w obozie. Został przewieziony po powstaniu warszawskim, grymasił, nie chciał jeść i oddawał mi większość swoich porcji. W warunkach obozowych niewielkie niestety były szanse uratowania go.

Po kilku dniach sprawa mojego pozostania na rewirze została półoficjalnie załatwiona, powróciłem więc na rewir pierwszy już w zupełnie dobrym zdrowiu i zamieszkałem w sztubie zajmowanej przez blokowego. Był to dwudziestoparoletni Czech, pochodził z Pragi, zachowywał się bardzo przyzwoicie i koleżeńsko, miał na imię Józef, przezywano go "Pepikiem".

W tej samej sztubie wraz z blokowym mieszkał profesor Mieczysław Michałowicz oraz doktor Jan Nowak. Oficjalnie figurowałem jako chory, ale miałem pełnić funkcję porządkowego i pomocnika pflegera. Uzgodził to wszystko, nim tu jeszcze przybyłem, profesor Michałowicz, interweniując u blockführera, sprawującego nadzór nad szpitalem.

Tymczasem zaczęły docierać mocno opóźnione wieści, że w Warszawie wybuchło powstanie i dzieją się tam straszne rzeczy, nic jednak nie wiedzieliśmy bliżej, co jest rzeczywiście prawdą, a co może być plotką. Wreszcie, gdy nadeszły transporty ludności cywilnej, otrzymaliśmy pierwsze bezpośrednie relacje. Brzmiały one przerażająco. Wynikało z nich wprost, że do Warszawy nie będzie już po co i do kogo wracać. Niemcy palą i burzą systematycznie całe miasto. Wieści te przygnębiały zupełnie. Przybyli ludzie, wyczerpani transportem i ostatnimi przeżyciami, łudzili się, że zostaną być może przyjęci na innych, lepszych prawach niż my, więźniowie, nie mieli przecież żadnych konkretnych politycznych spraw. Ewakuowano ich jako normalną ludność cywilną ze zniszczonego miasta. Ale niestety potraktowani zostali tak samo jak wszyscy häftlindzy, bez jakiegokolwiek taryfy ulgowej. Parokrotnie wymykałem się z rewiru, gdy nadchodził nowy transport. Po wstępnych formalnościach, kiedy zostali skierowani na zugagsblock, można już było do nich dotrzeć. Jakie było moje zaskoczenie, gdy pewnego razu natknąłem się wśród świeżo przybyłych na polskiego strażnika z Pawiaka, który do ostatnich chwil pełnił w wyrzniętych funkcję pomocnika Olszewskiego. Był starszym, schorowanym człowiekiem, chodził zawsze o lasce kulejąc, często okazywał nam pomoc i życzliwość. Ale cóż mogłem mu tu teraz pomóc i poradzić. Przyniosłem kawałek chleba i trochę dobrej zupy szpitalnej i to już było wiele.

Moje nowe miejsce pracy, a zwłaszcza obecne otoczenie sprawiało, że szybko wracałem do sił i normalnego stanu. Składało się na to wiele czynników. Poza wszystkim, tu na rewirze panowały bez porównania lepsze warunki niż na bloku, inna atmosfera, zupełnie inny świat. Względna cisza i spokój, mieszkaliśmy tylko w czwórce. Każdy miał własne łóżko z pościelą, no i co najważniejsze, nie uczestniczyliśmy w apelach obozowych.

Było to bardzo istotnym przywilejem pracowników rewiru. Apel mógł trwać zarówno jedną, jak i wiele godzin. Jeżeli cokolwiek się nie zgadzało, jeżeli brakowało chociaż jednego więźnia, trzymano cały obóz godzinami w pozycji stojącej bez ruchu, bez względu na pogodę i porę roku. Wielu ludzi osłabionych całodzienną morderczą pracą padało wówczas ze zmęczenia.

Wstawaliśmy jak wszyscy w obozie, na dźwięk gongu. Do mnie należały czynności porządkowe w naszym skromnym pomieszczeniu, poza tym słałem łóżko profesorowi. Po śniadaniu rozchodziliśmy się do swoich zajęć. Profesor Michałowicz usiłował w ciągu dnia wyszukiwać wiele prac, które by w sposób istotny uzasadniały potrzebę mojego

pobytu w rewirze. Jego pogoda ducha, optymizm pozwalały wielokrotnie zapomnieć o koszmarze, w jakim się znajdowaliśmy. Zawsze potrafił wprowadzić nas w dobry nastrój odrobiną humoru i wesołości. O godzinie 12 zbieraliśmy się ponownie w naszej sztubie na godzinną przerwę obiadową. Praca kończyła się około godziny 18 i wtedy mieliśmy wolny czas. Można było wyjść poza blok, kogoś odwiedzić, pójść do kantyny. Do profesora w tym czasie schodzili się liczni goście. Profesor Michałowicz wygłaszał ciekawe pogadanki na różne tematy, którym z wielkim zaciekawieniem wielokrotnie się przysłuchiwałem. W ten sposób szybko mijał dzień za dniem, coraz bardziej zbliżając upragniony koniec wojny. Co wieczór przed spaniem profesor ciekawie opowiadał przeróżne anegdotki ze swojego życia, oraz o pracy na uniwersytecie warszawskim. Często bardzo myślami wybiegał na przód, poza niezbyt wesołą teraźniejszość. Układał szczegółowo plany, jak będzie trzeba zorganizować życie, dom i pracę po zakończeniu wojny, po szczęśliwym opuszczeniu obozu. Wyjaśniał, do ilu problemów należy się już przygotować, ponieważ kraj wskutek wojny został zniszczony, że trzeba zaczynać wszystko od początku, że będzie to trudny i ciężki okres odbudowy. Dziwne i śmieszne wydawały mi się wtedy rozważania i prognozy profesora, osobiście byłem przekonany, że wystarczy pokonać Niemców i wygrać wojnę. Jako zwycięzcom Niemcy będą zmuszeni pozwracać wszystko. Byle tylko doczekać szczęśliwie końca wojny, wszystkie inne sprawy same się rozwiążą. Nie przywiązywałem więc do tych prognoz specjalnej wagi, tłumacząc je sobie podeszłym wiekiem profesora i przesadnym realizmem.

Okno naszej sztuby wychodziło na wielki rozległy plac i nie było w nim kraty. Ten szczegół stanowił istotne dla mnie znaczenie po dwuletnim pobycie na Pawiaku. Po przeciwnej stronie placu stał w zupełnym osamotnieniu, ogrodzony wysokim płotem z drutu kolczastego, barak tajemniczego komanda o nazwie Wetterstelle. Więźniów tam zatrudnionych izolowano całkowicie od reszty obozu, pilnie strzegąc, aby nie kontaktowali się z kimkolwiek. Zapewniono im specjalne, lepsze warunki egzystencji. Podobno byli to wybitni fachowcy pracujący w naukowo-badawczych laboratoriach nad urządzeniami radiolokacyjnymi dla potrzeb Wehrmachtu.

Jesienią zaczęły nadchodzić duże transporty Żydów rzekomo z Węgier. I wtedy pusty zazwyczaj plac za naszym obozem ożywał. Esesmani przeprowadzali tu szczegółowe rewizje osobiste w poszukiwaniu złota, biżuterii i innych kosztowności. Niejednokrotnie do pomocy w przyjmowaniu transportów Niemcy zatrudniali blokowych lub innych prominentów obozowych. Ci wykorzystywali takie okazje i przynosili przeróżne rzeczy, które udało im się nielegalnie zorganizować. Któregoś dnia zawezwano naszego blokowego z rewiru, Pepika, do dużego transportu więźniów polskich. Pepikowi udało się wynieść tym razem tylko jakiś sweter, szalik i parę butów narciarskich. Rzucił to wszystko z triumfem na środek sztuby, zachęcając, żeby wybrać sobie, co komu potrzebne. Nikt z nas nie kwapił się do prezentów Pepika, ale zaskoczyły mnie dwa szczegóły: szalik i buty. Identyczne miał mój kuzyn Jurek Górbiel, kiedy przyjeżdżał ze swoją mamą do nas do Warszawy. Buty te były bardzo oryginalne, nikt jeszcze takich nie miał, robione były na specjalne zamówienie u szewca w Krakowie. Marzyłem, żeby mieć takie. Ale skąd się tu znalazły, do tego ten szalik, identyczny nosił Jurek. Ogarnęły mnie jakieś złe przeczucia, które potwierdziły się jeszcze, gdy w najbliższym miesiącu otrzymałem kartkę z lakoniczną wiadomością, że Jurka i wujka nie ma w domu. Dopiero prawie za rok dowiedziałem się, że obaj zostali aresztowani i po dwumiesięcznych przesłuchaniach i torturach gestapo wysłało ich do obozu w Gross-Rosen. Jurek zginął w czasie transportu, a wujek wkrótce po przybyciu do obozu.

Oprócz pomieszczeń szpitalnych w końcu naszego baraku znajdował się gabinet dentystyczny. Wchodziło się tam z zewnątrz osobnymi drzwiami od strony podwórza. Ponieważ od dłuższego czasu cierpiałem na ból zęba, postanowiłem za namową profesora wykorzystać tę okazję i udać się po poradę. Funkcje stomatologów pełnili od paru dni dwaj Francuzi, paryżanie, podawali się za wybitnych specjalistów. Trudno było się z nimi porozumieć, ponieważ obydwoj albo bardzo słabo znali język niemiecki, albo tak udawali. Gdy usiadłem w fotelu, wydało mi się dziwne, że wszystkie funkcje Francuzi wykonywali razem. Po oględzinach uzębienia na pozór bardzo precyzyjnych i pełnych powagi odbyli między sobą burzliwą naradę, po której zdecydowali jednomyślnie, że ząb należy natychmiast usunąć. Pokazywali mi zamierzony zabieg dość sugestywnie na migi. Nie wzbudzali od początku zaufania, a że do tego nigdy jeszcze nie miałem rwanych zębów, nie zaakceptowałem tej propozycji zbyt pochopnie, odkładając zabieg na później. Mimo protestów panów doktorów zerwałem się z fotela i uciekłem. Że słuszne było moje postępowanie, przekonałem się niebawem, gdy któregoś popołudnia usłyszałem na podwórzu głośne krzyki i wrzaski. Zaciekawiony wyjrzałem przed barak i zobaczyłem dwóch dobrze znanych stomatologów uciekających w szalonym popłochu w kierunku bloków obozowych. Za nimi biegł rozścieczony esesman z batem w rękę, klnąc i wygrażając, podobno wyrwali mu zdrowy ząb. Nie wiem, co się dalej stało z Francuzami, ale następnego dnia na ich miejsce przyszedł stomatolog z prawdziwego zdarzenia, wiedeńczyk. Zaplombował mi niewielką dziurę w zębie i wszelkie dolegliwości ustały. Bardzo często przychodził później wieczorami do naszej sztuby na długie dyskusje z profesorem Michałowiczem. Zwracał się do niego zawsze z wielkim szacunkiem, powtarzając na początku każdego zdania ze szczególnym akcentem: "Herr Profesor".

Naszego profesora spotykały także różne niespodzianki. Gdy pewnego razu w porze obiadowej zeszliśmy się w naszej sztubie na godzinną przerwę, zjawił się profesor i z właściwym sobie spokojem i dowcipem zakomunikował, że wzywa go osobiście lagerführer. Oniemieliliśmy z wrażenia, ale w pierwszej chwili nie zorientowaliśmy się, czy to żart, czy prawda. Profesor jednak nie żartował, była to więc niezbyt pomyslna zapowiedź, wzbudzała niepokój i obawy. Co kryć się za tym może niebywałym zaproszeniem? Czy profesor wróci cały i zdrowy? Lagerführer, pan życia i śmierci, nigdy nie był zwiastunem niczego dobrego. Już samo jego pojawienie się na terenie obozu przeszywało grozą i strachem. Doktor Nowak z Józefem, naszym blokowym, snuli różne przypuszczenia i domysły. Pragnęli przede wszystkim dodać trochę otuchy profesorowi. Ale on był zupełnie opanowany i nie okazywał zbytniego zdenerwowania, przeciwnie, robił a propos różne dowcipne i złośliwe żarciki. Po południu nadszedł blockführer i poprowadził profesora na zapowiedziane spotkanie.

Bardziej zapewne zdenerwowani niż sam profesor, oczekiwaliśmy z niepokojem na jego powrót. Czas się wydłużał i wydawało się, że profesor zbyt długo nie wraca, i różne najgorsze myśli przychodziły już nam do głowy. Gdy zjawił się wreszcie po godzinie był o dziwo uśmiechnięty i rozbawiony. Zamknęliśmy się czym prędzej w naszej sztubie, z zaciekawieniem czekając na relację ze spotkania. To co usłyszeliśmy, było dosyć niesamowite i zaskakujące dla nas obytych dobrze ze zwyczajami obozowymi i rolą lagerführera. Otóż już z pierwszych słów profesora wynikało, że wizyta miała charakter wręcz kurtuazyjny. Przysiedliśmy z wrażenia. Lagerführer nie-

malże z niepokojem interesował się zdrowiem profesora, jego warunkami bytowymi, wyżywieniem. Dopytywał się o wszystko troskliwie i wnikliwie, co specjalnie profesora ubawiło, zdawał sobie bowiem dokładnie sprawę, że kto jak kto, ale lagerführer był na pewno znakomicie poinformowany o najdrobniejszych szczegółach życia w jego obozie. Dopiero pod koniec tego niezwykłego spotkania wyjął, że otrzymał z Genewy list z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. W liście tym Czerwony Krzyż zainteresował się losami profesora i prosił o zezwolenie udzielenia mu pomocy. Wobec tego na zakończenie wizyty lagerführer oświadczył, iż w odpowiedzi poinformuje tę organizację, że profesor czuje się dobrze i wie dzie mu się nieźle w jego obozie.

Po paru tygodniach nastąpiło ponownie takie spotkanie. Tymczasem profesor zaczął otrzymywać pierwsze paczki z Czerwonego Krzyża o dziwnej zawartości, zawierały bowiem same delikatesy i smakołyki. Widocznie lagerführer potrafił dosyć sugestywnie poinformować tę międzynarodową organizację o dobrobycie, jaki zapewnił profesorowi. Zastanawiające tylko, że tak mało orientowano się, jakie tu właściwie są potrzeby, że kawałek suchego chleba jest wielokrotnie więcej wart od najdroższych przysmaków.

Przebywałem już drugi miesiąc na rewirze i wszystko układało się na ogół dobrze, gdy pewnego dnia przed południem zjawił się nieznany esesman w randze podoficera. Zobaczyłem go po raz pierwszy. Okazało się, że spisywał chorych przebywających dłuższy czas w szpitalu. Między innymi zainteresował się niestety szczególnie moją osobą, nawet do tego stopnia, że zaważwał mnie do małej kancelarii, gdzie zostaliśmy sami we dwóch. Po dłuższym przesłuchaniu zapisał w notesie mój numer i wypytywał się jeszcze o różne drobne szczegóły dotyczące mojej przeszłości na Pawiaku. Zdawałem sobie dokładnie sprawę z niebezpieczeństwa. Przewlekłe chorzy uważani byli za niepotrzebnych i wysyłani do komór gazowych. Oficjalnie figurowałem w szpitalu nie jako pracujący, lecz jako chory. Uzasadniony więc był mój niepokój i robiłem sobie w duchu spóźnione wyrzuty, dlaczego nie zdążyłem się gdzieś ukryć, może wtedy nie zwróciłbym uwagi. Profesor Michałowicz nie radził mi za dużo rozmyślać nad tym wydarzeniem i przyrzekł przy najbliższej okazji porozmawiać z lagerarzem, aby załatwić mi stałą oficjalną pracę w szpitalu. Minęły dwa tygodnie i cały incydent poszedł w zapomnienie, gdy niespodziewanie któregoś dnia z samego rana zgłosił się do naszego rewiru laufer z głównej kancelarii obozowej. Odszukał blokowego Pepika i wręczył mu kartkę, wypisany był na niej mój numer obozowy. Zgodnie z rozkazem miałem stawić się po wieczornym apelu pod schreibstube. Wszyscy więźniowie wiedzieli, co mogło to znaczyć.

W obozie dobrze znana była postać hauptscharführera Demla, szefa SS-rewiru. Wiadomo było, że kiedy skradał się w stronę krematorium, ukrywając niezgrabnie w lewym rękawie strzykawkę, uśmiercał tego dnia zastrzykami z fenolu grupę wybranych więźniów. Zbierano ich właśnie przed schreibstube. Zdarzało się to co jakiś czas, na polecenie gestapo, które nadsyłało wyroki. Czekałem więc w nerwowej gorączce na koniec wieczornego apelu, snując różne domysły. Stało się to tak nagle i nieoczekiwanie, że nic już nie można było właściwie zrobić, niczemu niestety zaradzić. Najgorsze myśli przychodziły mi do głowy, dotychczas na ogół wszystko dobrze się układało, byłem przecież już zdrowy, a i koniec wojny wydawał się tak bliski i nagle pech. Profesor, doktor Nowak i blokowy Pepik usiłowali jak mogli pocieszać mnie zapewniając, że to z pewnością nic złego, ale nie były to argumenty zbyt przekonujące. Był bar-

dzo ładny ciepły wieczór październikowy. Słońce chyliło się ku zachodowi, apel dobiegał końca, nie trwał tego dnia długo.

Odległość była niewielka, rewir I znajdował się niedaleko schreibstuby, miałem więc zaledwie parę minut drogi. Zapadał zmierzch. Zbliżając się na miejsce, już z daleka zauważyłem grupę oczekujących tam około 30 więźniów. Gdy dołączyłem do nich, mogłem natychmiast stwierdzić, że są to przede wszystkim młodzi ludzie różnych narodowości, wszyscy dobrej kondycji, w każdym razie nie "muzułmani", dobór był więc nieprzypadkowy. Te okoliczności uspokoiły mnie nieco. Wszyscy tak jak i ja otrzymali w tym dniu wezwanie, ale również nikt z nich nie wiedział, w jakim celu nas tu sprowadzono. Stanęliśmy w równiutkim dwuszerogu i czekamy, co nastąpi dalej. Po pewnej chwili spostrzegliśmy raportführera Eschnera nadchodzącego od stropy apelplacu w otoczeniu grupy esesmanów. Padła komenda: "Achtung - Mützen ab"! Raportführer przeszedł wolnym krokiem wzdłuż szeregu tam i z powrotem, przyglądając się uważnie każdemu z osobna. Gdy tak przemaszzerował raz i drugi, skinieniem głowy wskazywał na tych spośród nas, których sobie upatrzył. Ci z kolei występowali z szeregu, pozostali otrzymali polecenie powrotu na bloki. W ten sposób zostało nas kilkunastu. Zrobiło się już zupełnie ciemno, zapaliły się jaskrawe światła, a my staliśmy nadal. Nagle ponownie padła najdonioślejszym okrzykiem komenda: "Achtung, Augen rechts!" Stanęliśmy w okamgnieniu wyprężeni, w pełnym bezruchu, na baczność; nadchodził sam lagerführer w otoczeniu licznej asysty esesmanów.

Wydarzenia przebiegały teraz tak nagle i nieoczekiwanie, że nikt nie myślał ani nie zastanawiał się, co stanie się dalej. I wtedy lagerführer podszedł bardzo blisko i znowu przeszedł wzdłuż szeregu, a do kilku spośród nas zwrócił się osobiście zadając krótkie, zdawkowe pytania. Po tej, jak się okazało, drugiej selekcji zostało nas już tylko pięciu. Reszta tak jak i poprzednio rozeszła się na bloki.

W dalszym ciągu trwaliśmy w kompletnym bezruchu, nie wiadomo po co i jak długo jeszcze, a wokół nas cała najwyższa szarża obozowa, coś się naradzali, dyskutowali między sobą, aż wreszcie sprawa się wyjaśniła. Lagerführer wyszedł przed otaczający go krąg esesmanów, stanął w rozkroku i wygłosił krótką przemowę. Poinformował, że spotkał nas wyjątkowy zaszczyt, bo od dnia następnego będziemy pełnili funkcję porządkowych w SS-führerheimie na miejscu wyrzucenych do komend w kamieniołomach więźniów-Niemców, którzy zachowywali się zbyt zuchwale. Ostrzegał, że również i nam grożą przykre konsekwencje w razie złego sprawowania. Bezpośrednio potem otrzymaliśmy polecenie udania się do Bekleidungsmagazynu, gdzie dobrano nam nowe dopasowane uniformy, bieliznę i buty.

W trakcie tych czynności powrócił raportführer, okazało się bowiem, że jednego spośród nas należy przydzielić do SS-rewiru. Natychmiast zameldowałem, że pracuję jako pfleger w rewirze obozowym, i w związku z tym, na moje zresztą szczęście, zmieniono mi przydział. Był późny wieczór, gdy wróciłem na blok. Współlokatorzy na rewirze oczekiwali ze zniecierpliwieniem mojego powrotu. Wiedzieli, co prawda, że nie stało się nic złego, ale nie mieli pojęcia, o co konkretnie chodziło i dlaczego tak długo nie wracam.

Gdy oznajmiłem, że od następnego dnia idę do pracy w SS-rewirze, ucieszyli się szczerze, bo było to dobre zajęcie pod dachem, a i w ten sposób skończyły się moje dotychczasowe kłopoty z zatrudnieniem. Profesor Michałowicz dla uczczenia tego pomyślnego wydarzenia wydał bankiet, ze skrzętnie odkładanych zapasów. Zrobił po małej kanapce, którą popijaliśmy słodką kawą.

Mieszkaliśmy dalej wszyscy razem, tylko teraz co rana na cały dzień opuszczałem nasze grono. Do naszej sztuby przyszedł nowy, piąty współlokator. Był nim Niemiec, kulturalny, starszy, siwy mężczyzna – jak dowiedzieliśmy się później, wojskowy z Wehrmachtu w randze pułkownika. Podobno sprawował funkcję senatpräsidenta miasta Wrocławia. Niewiele początkowo rozmawiał, wiele rzeczy go tu dziwiło, zaskakiwało, leżał cały czas chory, miał jakieś wrzody na całym ciele. Nie śmieliśmy początkowo pytać go, skoro sam nic nie zdradzał, dlaczego znalazł się wśród nas. W każdym razie intrygowała taka postać akurat tutaj. Esesmani odnosili się do niego szczególnie grzecznie i uprzejmie. Po kilku dniach stał się bardziej rozmowny i wreszcie zaczął powoli zwierzać się, co spowodowało jego aresztowanie. Według jego relacji przyczynę stanowił incydent, który wydarzył się, gdy jechał swoim służbowym samochodem wraz z drugim oficerem. Miał wtedy wyrazić wątpliwość, czy Führer wygra wojnę. Kierowca, który okazał się pracownikiem gestapo, złożył doniesienie i to było rzekomo powodem wysłania pułkownika do obozu. Teraz leżał wśród nas i nie wiedział, tak jak wszyscy tutaj, co z nim zrobią dalej, naturalnie nie podejrzewał niczego złego. Po paru tygodniach niespodziewanie przyniesiono mu cywilne ubranie i gdzieś zabrano. Gdy odchodził, przy pożegnaniu wyjawiał, że przez cały czas zastanawiało go, dlaczego w tak młodym wieku znalazłem się tu w obozie wśród dorosłych. Odpowiedziałem, że jestem Polakiem, a do tego pochodzę z Warszawy. O nic więcej już nie pytał – był to widocznie wystarczający powód w mentalności Niemca. Jedni mówili, że poszedł na wolność, inni, że został rozstrzelany.

W SS-rewirze pracowała spora grupa więźniów, w skład której wchodził również laboranci i farmaceuci. Należałem do grupy porządkowych, liczącej cztery osoby. Bezpośrednim naszym szefem był Niemiec, były porucznik Kriegsmarine. Z goryczą pokazywał swoje zdjęcia z podboju Norwegii, gdzie jako zwycięzca fotografował się pod jakimś okazałym pomnikiem w Oslo. Dlaczego dostał się do obozu, też dokładnie nie wiedzieliśmy.

Funkcje komendanta SS-rewiru sprawował hauptscharführer Demel, ten sam, który zajmował się uśmiercaniem więźniów zastrzykami. Miał wygląd pocziwego starowinki: siwy, średniej tuszy i średniego wzrostu. Odznaczał się przeraźliwie krzykliwym dyszkantem. Zachowywał się jak wielki służbista i dokładał wszelkich starań, żeby złapać nas na czymkolwiek. Było to zresztą tutaj jego jedyne i ulubione zajęcie, które sprawiało mu najwięcej satysfakcji. Skradał się więc często cicho, na palcach po korytarzu i podglądał, co i jak robimy, czy przypadkiem nie leniuchujemy i nie siedzimy bezczynnie. Gdy udało mu się kogoś nakryć na jakimś głupstwie, wyzywał się natychmiast swoim piszczącym doniosłym krzykiem, podniecając się coraz bardziej w miarę rosnącego rozhisteryzowania.

Do naszych codziennych funkcji należało przede wszystkim sprzątanie pokoi, w których leżeli chorzy, palenie w piecach, podawanie śniadań, obiadów i kolacji. Jedzenie przynosiliśmy z kasyna trzy razy dziennie na podstawie żywnościowych kartek chorych, które były zdeponowane u szefa naszej małej grupy porządkowych. Oczywiście i dla siebie zawsze wygospodarowaliśmy od kucharki skromne cztery porcje, które zaraz po przyniesieniu musieliśmy szybko skosztować. Robiliśmy to w wielkiej tajemnicy, żeby nie spostrzegł nas przypadkiem hauptscharführer. Potem jedzenie rozdzielaliśmy chorym esesmanom. Demel podejrzewał nas prawdopodobnie o te skryte machi nacje i nie dawało mu to spokoju, dlatego musieliśmy być szczególnie ostrożni.

Gdy pewnego razu smakowicie zajadaliśmy skromne wygospodarowa-

ne dania obiadowe, a na talerzach leżały rozdzielone już porcje dla szpitalnych pacjentów powoli stygnąc, bezszelestnie w drzwiach niczym zjawa ukazała się postać naszego szefa rewiru. Demel, na widok, jakiego nie mógł sobie nawet wymarzyć, zbladł, poczerwieniał i nie był w stanie wykrztusić początkowo ani słowa. Oniemieliliśmy z przerażenia i dopiero za parę chwil wyrwani z odrętwienia poderwaliśmy się na baczność, połykając jak najdyskretniej smakowite kęski, które ciągle jeszcze mieliśmy na nieszczęście w ustach. Zapanowała śmiertelna, złowroga cisza, po czym jak piorun z nieba rozległ się tak przeraźliwy krzyk Demela, że cały szpital zerwał się na nogi.

Wśród steku niezrozumiałych wyzwisk i przekleństw docierały do nas jedynie nieliczne słowa. "Wy stare łotry - wykrzykiwał - darmozjady, wyrzucę was wszystkich natychmiast do kamieniołomów. Jak śmiecie, nieroby, obżerać najlepszych synów narodu niemieckiego, chorych i rannych". Jakims sposobem szczęśliwie skończyło się tym razem tylko na groźbach i Demel nie złożył doniesienia, ale na przyszłość musieliśmy już być bardziej ostrożni, bo z wiktus esesmańskiego nie mieliśmy zamiaru zrezygnować.

W każdym razie wiodło tu nam się nie najgorzej, praca nie była wyczerpująca, względnie spokojna, nie byliśmy nigdy głodni. Również po powrocie nie obowiązywał nas wieczorny apel. Wychodziliśmy z obozu wcześniej rano i jedynie te poranne wyjścia były uciążliwe. Codziennie przed godziną 6, na dźwięk gongu, zbieraliśmy się w ściśle określonym miejscu na Lagerstrasse. Tam formowały się według ustalonej kolejności w długiej kolumnie wszystkie komanda pracujące poza obozem. Zbiórki na arbeitskomanda były szczególnie przykre w porze zimowej, gdy nastąpiły chłody i mrozy. Pracowaliśmy pod dachem, dlatego według obozowego regulaminu nasz ubiór mógł składać się jedynie z cienkich drelichowych pasiaków. Nie wolno było nam nosić ani płaszczy, ani ciepłej bielizny.

Zimą wypuszczano więźniów za bramę obozu zazwyczaj później, dopiero gdy się rozwidniało. Ale zbiórki na arbeitskomando odbywały się zawsze o szóstej bez względu na porę roku i pogodę. Często więc staliśmy na mrozie nawet ponad godzinę, zwłaszcza gdy nadeszła zademka śnieżna lub mgła, umożliwiająca rzekomo - przez złą widoczność - szansę ucieczki. Oczekiwanie wtedy przeciągało się jeszcze bardziej i marzliśmy okropnie. Radziliśmy sobie w ten sposób, że pod cienkie bluzy podkładaliśmy papiery, co też już było przestępstwem, ale i to niewiele pomagało. Obawialiśmy się, żeby przypadkiem się nie przeziębnić i nie rozchorować, bo można było utracić dobre zajęcie.

I tu rzeczywiście miałem pecha, po raz drugi w tym obozie. Gdy któregoś dnia ranne oczekiwanie na wymarsz przeciągnęło się wyjątkowo długo, po przybyciu do pracy poczułem się jakoś nieswojo. Gdy wieczorem wróciliśmy do bloku, okazało się, że miałem już wysoką gorączkę. Prawdopodobnie przyplątała się grypa lub silne przeziębienie, objawy były niestety zupełnie typowe - katar, ból gardła, kaszel. Ogarnęło mnie przerażenie - co robić? Jeżeli następnego dnia nie pójde do pracy, rewierkapo wykorzysta tę sposobność, żeby przydzielić w zastępstwie kogoś ze swoich ludzi, wiedziałem, że czeka na taką okazję. A gdy wrócę do zdrowia, postara się o wysłanie mnie do kamieniołomów. Musiałem iść nazajutrz za wszelką cenę do normalnych zajęć, nie mogłem nie zgłosić się na arbeitskomando.

Profesor Michałowicz dostarczył mi cały zestaw leków i położył mnie w izbie chorych, usiłując wybić z głowy, ażebym mógł nazajutrz w ogóle wstać z łóżka. Zażyłem potajemnie dużo ponad normę, chyba kilkanaście przeróżnych tabletek, z postanowieniem, że pra-

cy opuścić nie mogę. Zasypiałem spocony, z silną gorączką, zawrotami i szumem głowy, ale mimo wszystko z przeświadczeniem, że na poranny gong muszę wstać. Gdy obudziłem się rano, pierwszym odruchem było zdobycie termometru i zmierzenie temperatury. I stał się cud. Termometr wskazywał dokładnie 36,6. Czułem się osłabiony, ale nie chory. Założyłem cienki drelichowy ubiór i jak zwykle - mimo mrozu i zimna - pobiegłem na arbeitskomando na Lagerstrasse. Zastanawiałem się, ile w domu byłoby ceregieli w takim przypadku. Ile zabiegów, ile leczenia, pielęgnacji i troskliwości. Jak bardzo twarde, bezwzględne warunki obozowe potrafiły zmusić do przetrzymania tego, co w normalnych okolicznościach wydaje się nie do pomyślenia. Aż sam się dziwiłem, że tak szybko, jak ręką odjął, wszystko przeszło.

Objawy przeziębienia zupełnie minęły i gdy wracaliśmy tego dnia po pracy, a orkiestra dęta, ustawiona przy bramie obozu, przygrywała skoczne marsze wojskowe, miałem tak dobry nastrój, że zapomniałem zupełnie, że mi cokolwiek dolegało. Wręcz odwrotnie, miałem nawet ochotę pójść potem jeszcze pod kantynę, w której codziennie po apelu wieczornym koncertowała orkiestra taneczna, wygrywając różne popularne szlagiery. Przesiadывali tam przeważnie kapowie i vorarbeiterzy, popijając przy stolikach poncz i piwo. Lubiłem zawsze orkiestry wojskowe, a jeszcze bardziej w takt tej muzyki maszerować. Nawet tu w obozie nie sprawiało mi to większej przykrości. Dlatego powroty do obozu, kiedy przygrywała orkiestra, były dla mnie właściwie jedyną atrakcją całego dnia. Przypominały mi się parady i defilady wojskowe, które dawniej zawsze bardzo chętnie oglądałem. Tylko że teraz odbywały się w makabrycznej scenerii.

Nadszedł grudzień 1944 roku. Tym razem było już pewne, że jest to ostatni grudzień w niewoli. W naszej sztubie co wieczór bywało gwarno i rojno, to do profesora przychodzili w odwiedzinach ludzie różnych narodowości i profesji. Radzili, dyskutowali, omawiali w podnieceniu ostatnie wydarzenia wojenne, zastanawiali się, jaki los może nas spotkać. Profesor podejmował gości w swoim kącie pod oknem, przy którym obok łóżka stał mały stoliczek. Przy tym to właśnie stoliczku, wyzyskując każdą wolną chwilę, profesor pisywał często jakąś pracę. Po skończonych odwiedzinach profesor dzielił się zazwyczaj z nami bardziej sensacyjnymi świeżo zdobytymi wiadomościami, komentował, wyciągał własne wnioski, stawiał prognozy. Nieraz gościem w naszej sztubie bywał również pan Roman Niewiarowicz. Wiedziałem wtedy o nim tyle, że pracował przed wojną gdzieś w teatrze. Któregoś wieczora tuż przed Bożym Narodzeniem pan Roman przyniósł niebywałą wprost wiadomość. Mianowicie za zezwoleniem lagerführera mają przygotować wraz z panem Wojciechem Dzeduszyckim przedstawienie świąteczne, coś w rodzaju jasełek. Opracowywali teraz w pośpiechu teksty piosenek i deklamacje. Świąta miały być w tym roku dniami wolnymi od pracy. Pan Roman trzymał wszystko w wielkiej tajemnicy i niczym nie chciał się zdradzić, ale wynikało z jego niedomówień, że będzie to wystawienie o bardzo polskim, patriotycznym zabarwieniu. Tym bardziej jeszcze wzmogła się nasza ciekawość. "Musicie - mówił tajemniczo - sami przyjść i zobaczyć". Z niecierpliwością oczekiwaliśmy na tę niespotykaną tu sensację.

Nadszedł pierwszy dzień świąt. Żyliśmy dzisiaj tylko tym, co zobaczymy na scenie. Gdy zbliżała się zapowiedziana godzina spektaklu, sala wypełniła się po brzegi. Była autentyczna scena, kurtyna jak w prawdziwym teatrze. Światło zgasło, seans się rozpoczął, na widowni zrobiło się ciemno, scenę oświetliły reflektory. W jednej chwili zapanowała zupełnie martwa cisza. Uchyliła się kurtyna i wtedy rozległy się, jakby na zapowiedź programu, dźwięki hejnału

z wieży Mariackiej w Krakowie, ukazali się kolędnicy i polscy górale. Ze sceny popłynęły polskie piosenki i kolędy. Potem nastąpiły wiersze i recytacje. Ludziom spływały łzy po policzkach. Tu i ówdzie słyhać było szlochy. We wszystkim było tyle aluzji politycznych, tyle patriotyzmu i polskości, że aż dziw brał, iż wykonawcy mieli na tyle odwagi, a Niemcy nie zorientowali się w intencji autorów.

Zbliżał się rok 1945. Pierwszy stycznia był dniem imienin profesora. Akurat dzień przedtem profesor otrzymał paczkę ze Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża. Te dziwne paczki o luksusowej zawartości były okazją do szykan przy odbiorze. Tym razem z całej paczki esesmani wydali profesorowi tylko sardynki, a resztę bardziej przydatną zarekwirowali. Sardynki do tego wyjęli z puszek i wrzucili do miski. Nie było wyjścia, należało szybko je zjeść, a okazja ku temu właśnie się nadarzyła. Esesmani nie przeczuwali, że w ten sposób przyczynią się do uroczystej kolacji, a resztę bardziej przydatną zazdrości i perfidii, bo na pewno takiego przysmaku od dawna nie mieli w ustach. A nam w obozie akurat były potrzebne sardynki! Tu brakowało przede wszystkim chleba i zwykłego tłuszczu. Irytowały te dziwne doprawdy pomysły Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża.

Profesor przygotował tego ostatniego dnia roku uroczysty wieczór, zarówno sylwestrowy, jak i imieninowy. Mieliśmy spędzić go we trójkę z doktorem Nowakiem. Nasz blokowy poszedł gdzieś do swoich rodaków. Wiadomo było, że będzie to rok doniosłych wydarzeń historycznych. Sardynki były specjalną atrakcją tej uroczystości. Bo co za luksus nie do pomyślenia - sardynki w obozie, w którym na każdym kroku czyhała śmierć głodowa. Niewiele przecież trzeba było, aby się o tym przekonać. Wystarczyło przejść parę kroków do waschraumu, gdzie co wieczór układano jedno na drugich ciała zmarłych z izby chorych. Nie ciała to właściwie były, ale szkielety powleczone skórą, które rano leichenträgerzy wrzucali na wózek i wieźli do krematorium na spalenie.

Tego wieczoru profesor długo opowiadał, jak zwykle dowcipne, anegdoty ze swego życia, snuł wizje przyszłości. Mówił o swoich planach i zamierzeniach po powrocie do domu, gdy znajdzie się znowu w Warszawie. Był jak zawsze optymistą, wierzył, że przeżyjemy te najgorsze chwile, które niebawem mogą nadejść, i doczekamy szczęśliwie dnia wolności. A przed nami, jak za dobrych czasów, stał nakryty stół. Na dwóch talerzach, jak na półmiskach, leżały przygotowane na cieniutkich kawałeczkach chleba przemyślnie przybrane kanapki z sardynkami. Uroczysty wieczór przeciągnął się do północy, powiało trochę inną atmosferą, zbliżającą się wolnością.

I tak rozpoczął się styczeń 1945 roku. Ze wszystkich komand podobozowych codziennie spędzano więźniów do Gross-Rosen, jako stammlagru - obozu macierzystego. Transporty przeważnie przybywały pieszo. A droga, którą odbywali, była bardzo ciężka i okrutna - zima, mróz, śnieg, a przy tym głód, noclegi na mrozie pod gołym niebem. Więźniowie, wyczerpani ciężką niewolniczą pracą, wygłodzeni i wynędzniali, nie mogli podołać trudom takiej wędrówki. Eskortujący esesmani nie bawili się w żadne sentymenty; kto opadał z sił, kto opóźniał się w marszu lub wypadał z szeregu, zostawał z miejsca zastrzelony. W efekcie takiego traktowania tylko nieliczni docierali do Gross-Rosen, przeważająca większość ginęła po drodze. Któregoś dnia przybył transport kobiet, które ulokowano w osobnym baraku pośrodku obozu, uprzednio naprędce szczelnie ogrodzonym płotem z drutu kolczastego. W obozie panował coraz większy chaos. Nowo przybyli - nie chodzili do pracy, kręcili się między barakami w oczekiwaniu na dalszą drogę. Wykradałem się często z

rewiru w nadziei, że spotkam któregoś z moich współtowarzyszy z Pawiaka. I rzeczywiście, któregoś dnia wśród nowo przybyłych zobaczyłem mojego kolegę z naszego domu przy ulicy Czerniakowskiej, Waldek Roszczewskiego. Co za nieoczekiwane spotkanie, co za przypadek, wśród tysięcy ludzi, jaka radość, że żyje, że przetrwał. Opowiadał mi swoje koleje losu po opuszczeniu prawie przed rokiem Pawiaka. Musiałem również zaspokoić jego ciekawość szczegółowo relacjonując, co działo się po jego wyjeździe. Nie pozostało nam niestety zbyt wiele czasu na rozmowy, bo za chwilę mieli zapowiedzianą zbiórkę i prawdopodobnie odmarsz na zachód. Waldek wyglądał dobrze, czuł się całkiem nieźle. Cieszył się przede wszystkim bardzo, że w końcu nadeszła klęska Niemiec, na którą tyle lat czekaliśmy. Kombinował, żeby uciec i walczyć, dostać się do polskich wojsk. Niestety wraz z całym komandem mieli być ewakuowani dalej i niewiele dało się zrobić, żeby go tu zatrzymać. Zresztą nie wiadomo co lepsze, chcieliśmy tylko być razem, bo byłoby nam znacznie raźniej. Dałem mu na drogę moją porcję chleba i scyzoryk, który do tego czasu przechowywałem jako talizman. Waldek był pełen dobrych myśli i umawialiśmy się w lipcu w Warszawie na Czerniakowskiej. Żegnaliśmy się pełni optymizmu, w przekonaniu, że jeżeli tyle przetrwalimy, to jeszcze te ostatnie miesiące też przetrwamy. Niestety po wojnie dowiedziałem się, że Waldek zginął wkrótce po wymarszu z Gross-Rosen, tak jak tysiące innych w czasie dalszej ewakuacji.

Obóz stawał się teraz z każdym dniem coraz bardziej przepełniony. W blokach wypełnionych do ostatnich granic już nic się więcej zmieścić nie mogło. Warunki bardziej niż okropne. Więźniowie spalili po trzech a nawet czterech na jednej pryczy, spali również na podłogach, w korytarzach, waschraumach, wszędzie gdzie się dało. Kończył się styczeń 1945 roku. W obozie głód panował coraz większy. Wieczorami obserwowaliśmy naloty i bombardowanie Wrocławia. Słychać było detonacje bomb, widać łuny pożarów płonącego miasta. Poprawiało to nasz nastrój. Niech wiedzą, co przeżywaliśmy w Warszawie, którą tylokrotnie niszczyli. Dochodziły coraz wyraźniejsze odgłosy kanonady artylerii. Front był już całkiem niedaleko. We wszystkich wstępowała nadzieja rychłego końca. Niemcy przystąpili do ewakuacji. Codziennie spora grupa więźniów opuszczała obóz. Nas w rewirze na razie jeszcze nie ruszali. Wiedzieliśmy, że nadchodzą wielkie wydarzenia historyczne, które zadecydują o losach naszego kontynentu. Wunderwaffe, którą esesmani ustawicznie zapowiadają, chyba nic im już nie pomoże.

Pawiak opuszczałem ostatnim transportem z końcem lipca 1944 roku, ostatnim również transportem opuszczałem obóz w Gross-Rosen. Liczyliśmy jeszcze, że lada dzień mogą wkroczyć wojska radzieckie, które przyniosą nam wyzwolenie, i skończą się wreszcie wszystkie obawy i udręki. Wszelkie transporty, zwłaszcza teraz w tym ostatnim okresie, były zmorą i wielką niewiadomą dla ewakuowanych. Odbywały się zazwyczaj pieszko i tylko nieliczni docierali do miejsc przeznaczenia. Zginąć teraz, po przebyciu tylu trudów i przeciwności, to byłaby straszna tragedia. A jednak niestety nie wszyscy mieliśmy doczekać dnia wolności. Wzrastała na razie nadzieja, gdy wieczorami widać było coraz większe łuny palącego się Wrocławia. Nieustająca kanonada artylerii radzieckiej stawała się już coraz wyraźniejsza i głośniejsza.

Obóz opuszczaliśmy 9 lutego przed wieczorem przy dźwiękach marsza żałobnego Chopina. Był to pomysł raportführera Eschnera, który ustawił przy bramie orkiestrę obozową. Ponieważ na stacji kolejowej nie podstawiono rzekomo wagonów, powróciliśmy raz jeszcze do obozu i dopiero dnia następnego rano wyruszyliśmy ponownie.

Już na tej zaledwie kilkukilometrowej drodze zastrzelono wielu więźniów opuszczających się w marszu lub wychodzących z szeregu. Ostatnia noc w Gross-Rosen też nie była spokojna. Nadleciały samoloty alianckie i ostrzeliwały z broni pokładowej tereny obozu, zapewne w przekonaniu, że obóz jest już pusty i więźniów tu nie ma. Nad ranem wyruszyliśmy znowu na dworzec.

Nr archiwum 4.6.80.

R. II Fachwerke	
21-4	Kontrolle
1-5	23.11.44
Hand 193	1-5
R. II Fachwerke	3
21-4	Kontrolle
1-5	23.11.44
Hand 198	1-5
R. II Fachwerke	3
21-4	Kontrolle
1-5	23.11.44
Hand 182	1-5
R. II Fachwerke	3

Kontrolka dyżurów na Rewirze II w dniach 13,14,15 listopada 1944 roku. (z mikrofilmów belgijskich) Nr archiwum 1.5.2.1.

SPOTKANIE W GROSS - ROSEN I POŻEGNANIE MARCELEGO HANDELSMANA

Przyszedł wielki transport z Radomia. Wielu więźniów z Warszawy. Wśród nich jakiś profesor. Tylko co popędzili wszystkich na Rewir do przeglądu, gruchnęło po całym obozie.

Poszedłem na rewir. Przed główną kancelarią stały oddziały nowo-przybyłych. Pierwsza partia więźniów była już wewnątrz baraku. Sta-
li w wielkiej sali, ustawieni wzdłuż ścian w kształcie litery "U".
W otwartych ramionach "U" stał stół. Przy stole siedzieli SS-mani
i kapo, oczekując na przybycie lekarza.

Ujrzałem Marcelęgo od razu. Stał blisko drzwi. Poszedłem przez
korytarz. Wsunąłem się przez drzwi i stanąłem bezszelestnie z obo-
jętną miną tuż za nim. "Nie oglądaj się, udawaj, że nic nie widzisz"
- szepnąłem.

W tej chwili Kapo poderwał się, rzucił się naprzód i wrzasnął
"Achtung". Więźniowie stanęli na baczność. Do sali wkroczył Lager-
arzt w towarzystwie sanitariusza - sierżanta.

Rozpoczął się przegląd. Nagi więzień podbiegał do stołu, trzas-
kał gołymi piętami i prężył się, o ile miał co do prężenia. Lekarz
rzucił obojętnym wzrokiem na więźnia. Kapo podrywał więźnia za ra-
mie i obracał go tyłem do lekarza. Pomocnik Kapo zwilżał piersi i
plecy więźnia mokrą ścierką. Ze znudzonych ust lekarza padały obo-
jętne słowa ein, zwei, drei. Kapo wpisywał na zwilżonej skórze wię-
źnia na piersiach i na plecach sakramentalną jedynkę, dwójkę, lub
trójkę.

Jedynka oznaczała pracę w kamieniołomach. Dwójka pracę pomocniczą
w obozie, trójka - pobyt w szpitalu.

Przegląd dla danego osobnika był skończony. Przejrzany więzień
galopował na swe dawne miejsce w szeregu. Na opróżnione przez niego
miejsce przy stole przygalopowywał więzień następny.

Jeszcze kilka chwil, a sala Rewiru upodobniła się do filmu Dis-
neya. Rolę pędzonych tam i z powrotem Miki - Maus ów peknili wię-
źniowie, na których była zwrócona powszechna uwaga. Skorzystaliśmy
z Marcelim z tego codziennego porannego "kina" i ucieliśmy ożywioną
pogawędkę, pomimo że twarze miały wyraz tynku na ścianach.

Wymieniliśmy dotyk palcami /zamiast uścisku dłoni/ i wyraziliś-
my sobie obopólne nasze zdziwienie, że pomimo długich miesięcy po-
bytu w więzieniu i w obozie wyglądamy wcale, wcale nieźle.

Transport Marcelęgo przyszedł jak powiedziałem z Radomia, a Ra-
dom miał makabryczną opinię. Więźniowie przychodzący z Radomia,
mieli porozrywane w strzępy pośladki, oraz posiekane na kotlety
plecy. Pośladki i plecy były najlepszym pisanym dokumentem prawdzi-
wości ustnych relacji, składanych przez przybyłych więźniów. To bo-
lesne odznaczenie ominęło na szczęście Marcelęgo.

Prawie co dzień poczta radomska przynosiła do kancelarii obozu
w Gross-Rosen koperty. Przeczytawszy ich treść sierżant SS-man wy-
notowywał na swoim arkuszu nazwiska, sprawdzał numery więźniów,
wpisywał je do księgi porządkowej i odstawiał sporządzony przez
siebie spis do podpisu komendantowi obozu.

Następnego dnia nowy SS-man w stopniu podchorążego wchodził do
tego lub innego baraku wyczytywał odpowiedni numer ze swego notat-
nika. Pisarze baraku odszukiwali wyczytanego więźnia. Następnie

sprawdzano jeszcze raz dokładnie jego dokumenty i wyprowadzano więźnia z baraku. W baraku panowała podczas opisywanej przed chwilą ceremonii złowieszcza cisza. Wszyscy wiedzieli, że jest to ostatni słoneczny lub pochmurny poranek, oglądany przez więźnia własnymi oczami.

Ponury pochód tych kilku lub kilkunastu ludzi w pasiakach posuwał się często w promieniach słońca lub w strugach deszczu na tyły obozu do brunatnego wielkiego budynku. Przed brunatnym budynkiem krematorium leżały sterty zwłok więźniów przywiezionych czasem z daleka, z jakiegoś innego obozu, pozbawionego własnego krematorium.

Po wejściu do wielkiej izby ponurego budynku więźniowie ustawiali się ponownie w szyku litery "U" i znów odczytywano nazwiska i szczegółowe dane o skazanym człowieku.

Z tego powtórnego, ostatecznego przeglądu nikt nigdy jeszcze nie wracał. A jednak widziałem raz na własne oczy takiego chłopaka, co wrócił z tej przedśmiertnej rewizji. Był to młody w wieku lat 24-eh. Nosił nazwisko spotykane często w Czechach /zdaje się Nowak/ i miał jeszcze popularniejsze w Czechach imię - Pepik, czyli Józef. Przy ostatnim sprawdzeniu coś tknęło obojętnego sierżanta. Jego delikwent miał być przecież starszym człowiekiem, miał przecież mieć lat 42, mógł wyglądać nawet na lat 50 i więcej w warunkach życia obozowego. Tymczasem, przyprowadzony przez sierżanta więzień wyglądał na lat 18 /aczkolwiek w rzeczywistości miał lat 24/.

W tym wypadku nastąpiło tak częste w dziejach wszelkich zapisów przestawienie porządku liczb. Przyprowadzonemu przez SS-mana chłopakowi wpisano do książki barakowej zamiast właściwych lat 24 przedstawioną liczbę lat 42. Dysproporcja między faktycznym, a wpisanym wiekiem uratowała więźnia w oczach dokładnego sierżanta.

Po ostatnim sprawdzeniu sierżant dawał rozkaz "rozebrać się". Rozebrać się - oznaczało - zdjąć z siebie wszystko i ułożyć w pedantycznym porządku: czapki do czapek, koszule do koszul itd. itd.

Skazańcy stali nadzy w szeregu. SS-man podchodził do nich i brał z niesionej przed nim, tacy strzykawkę wypełnioną benzyną i wbijał jej igłę w łokciową żyłę skazańca.

Po kilku minutach więzień osuwał się martwy na ziemię. Do zwłok podwożono płucienne nosze o dwóch pionowych drążkach umocowanych na dwóch kołach roweru. Więźniowie obsługujący krematorium układali zwłoki na nosze i podwozili do pieca. Jeden z więźniów wykonywał sprawny ruch tylnymi rączkami noszy, spuszczaając je nagle w dół. Podrzucone w górę i naprzód spadały wtedy na rozżarzone węgle.

Smutny koniec naszych kolegów groził nam wszystkim, jak przekonaliśmy się o tym w niedalekiej przyszłości. Na razie nie myśleliśmy jednak o tym. Szczęśliwi, żeśmy się spotkali ze sobą i ufni, że będziemy się trzymać nadal, dopóki los da nam przebywać razem i wspierać się nawzajem. Staliśmy obok siebie, patrząc każdy w inną stronę, naszeptując sobie nawzajem najkonieczniejsze informacje jakiegoś numeru naszych baraków i jaka jest technika zgłaszania się do izby chorych.

"Jutro rano zgłosisz się do wizyty u lekarza. Będę czekał na Ciebie w ambulansie u Dr. Konopki" - szepnąłem na pożegnanie. Przegląd grup Marcelego skończył się. Kapo i SS-man opróżnili izbę dla grupy następnej.

Zanim przyszło to oczekiwane jutro, nasze "wici" trafiły do kogo należy. Odpowiedni ludzie zostali poinformowani, że trzeba zaopiekować się Marcelim i że szukać należy dla niego dobrego przydziału. Na razie rozporządzaliśmy tylko jedną szansą, była nią Weberei, czyli barak tkaczy.

Kurz w owej Weberei był niesamowity. Słabsi więźniowie zapadali na płuca, cierpieli na dychawicę. Ci co mieli kiedyś wyleczone og-

nisko gruźlicze i uważali siebie przed przyjściem do obozu za ludzi względnie zdrowych, zapadali po kilku miesiącach pracy w Weberei na nowy, tym razem bardzo poważny rzut odnowionej gruźlicy. Ustaliliśmy wszyscy wraz z samym Marcelim, że lepiej jest siedzieć na stołku w cieple pod dachem w zakurzonej Weberei niż deptać po dworze przez cały dzień pracy przy jakimś ogłupiającym zajęciu w pluchę i w zimie.

Zbliżał się coraz bardziej koniec października 1944 roku. Tymczasem obiecany mu przez samego Kapo z Weberei społeczny awans Marcelego na tkacza, w dalszym ciągu czekał na swoją realizację. Wszędzie, a zwłaszcza w obozie wyniszczenia należy liczyć się z ową nieszczęsną konkurencją, a zwłaszcza z kumoterstwem ugrupowań konkurencyjnych. My, Polacy nie należeliśmy w obozie Gross-Rosen do więźniów uprzywilejowanych. Pierwsze miejsce zajmowali w hierarchii obozowej kryminaliści i homoseksualiści Niemcy, drugie miejsce - polityczni przestępcy Niemcy. Za nimi szli różne obieżyświaty, kondnity najbardziej podejrzanej. Po obieżyświatach szli Czesi nie bardzo liczni, ale solidarni i zorganizowani wspaniale. Po Czechach następowaliśmy my - Polacy. Po nas - jeńcy radzieccy, jako najbardziej znienawidzona i sponiewierana przez hitlerowców kategoria obozowiczów.

Uzyskanie w tych warunkach najmniejszego awansu było rzeczą problematyczną, problematyczną zwłaszcza dla nowicjusza, przebywającego od niedawna w obozie. Zugang mógł liczyć na Abgang.

W oczekiwaniu na następną kolej losu, więźniów z Zugangu używano do noszenia piasku. Do tych piaskarzy wyznaczono Marcelego. Taczek, noszy lub worków dla piaskarzy w obozie nie było. Piasek wypadało nosić chyba garściami. Bieda jest jednak matką wynalazków. Wyjątkowa bieda stała się źródłem wielu epokowych wynalazków obozowych. Do takich wynalazków należał też sposób noszenia piasku w połach marynarki włożonej przez więźnia tyłem naprzód. Podwinawszy poły marynarki w ten sposób, więzień mógł zmieścić w tak podwinętej pole około 3-ch kg piasku. Karawana wielbłądów przenosiła w ten sposób za każdym razem sporą kupę piasku z miejsca na miejsce na odległość jakiegoś pół kilometra.

Dochodziło piękne południe złotej śląskiej jesieni. Stanąłem za rogiem drewnianego budynku. Krocząc dość stromą serpentyną, karawana wielbłądów zbliżała się wolno na miejsce, w którym czatowałem na Marcelego. Szedł nieobecny, pogrążony w myślach, z twarzą skupioną. O czym rozmyślał? Może o swym dziele końcowym, o swym Adamie... Wsunąłem się do szeregu tuż za nim. Nie obracaj się. Jutro zameldujesz się u Dr Konopki. Przyjmie Ciebie na mój barak szpitalny.

Wszystko poszło jak z płatka. Pomimo że w szpitalu było przełudnienie i że więźniowie leżeli po dwóch, udało się nam wepchnąć Marcelego. Ułożono go w jednym łóżku z Francuzem, profesorem historii Liceum w Paryżu. Obaj byli zadowoleni. Rozprawiali ze sobą do syta. Wieczorem obchodząc wszystkich chorych, zatrzymywałem się na tej sali wyjątkowo długo przy każdym łóżku. Przy łóżku Francuza i Marcelego siadałem na stołku i pod pozorem uprawiania praktyki języka francuskiego przeprowadzałem dłuższą rozmowę z Francuzem. Marceli bywał jej stałym uczestnikiem. Na godzinę 11-tą w nocy wyznaczaliśmy sobie z Marcelim na pożegnanie spotkanie w pewnej mało eleganckiej ubikacji.

Tematem były oczywiście najświeższe wiadomości radiowe. Przychodziły one do nas co najmniej 4 razy na dobę najrozmaitszymi drogami... Pierwszą drogą był obozowy warsztat naprawy aparatów radiowych. Druga - zajezdnia samochodów SS-mańskich, zaopatrzonych w radioodbiornik i obsługiwanych z reguły przez więźniów. Trzecią -

stacja meteorologiczna, tzw. Wetterkomando, obsługiwana także przez więźniów. Wreszcie czwartą - kancelaria samego komendanta obozu, śpiącego zawsze jak bela i pozostawiającego radio otwartym w obecności posługacza wyznaczonego spośród więźniów.

To też pantoflowa poczta obozowa naszego grona wtajemniczonych rozpoczynała każde sprawozdanie od ustalenia godziny audycji. "Godzina taka i taka. Mówiono to i to", podawano sobie od ucha do ucha.

Tak upłynęło kilka tygodni pobytu Marceliego w obozie. Wreszcie przyszedł upragniony przez Marceliego awans społeczny. Kapo z Webera oznajmił, że Marceli będzie od jutra pracownikiem Webera z płacą 3-ch marek tygodniowo. Dobrze nowiny przychodziły teraz jedna po drugiej. Upłynęło bowiem zaledwie kilka następnych dni, a Kapo z obozowej fabryczki elektrycznej podpatrzył jak Marceli wybiera starym i metodycznie jakieś nici dla warsztatu tkackiego. Kapo z elektryki zabrał więc Marceliego do swojej fabryczki dla sprawdzenia czy muterki aparatów elektrycznych pasują dokładnie do swych śrubek.

Na tym nowym, a tak uprzywilejowanym stanowisku Marcelowi wyznaczono opłatę, aż całych 4-ch marek tygodniowo. Był to najwyższy szczebel arystokracji obozowej, umożliwiającej więźniowi zakupić kilkanaście szklanek słodowego piwa i jakiejs sałatki ze ślimaków dla poczęstowania kolegów.

Przez cały dzień pracował teraz w zupełnie znośnych warunkach. Wieczorem zaś zakopywał się po apelu podobnie, jak wszyscy więźniowie w najgłębszy zakątek baraku. Były to najprzyjemniejsze godziny życia obozowego towarzyskiego. W kąci Marceliego nie plotkowano. W jego kąci ukrywała się jedna z komórek tajnego uniwersytetu obozowego. W tym kąci Marceli wykladał historię. W tym kąci słuchacze nie słuchali swego nauczyciela, lecz przeżywali dosłownie wraz z nim każde jego słowo, przeżywali dzieje swego narodu i dzieje ludów.

Pewnej nocy przyszło nowe zarządzenie władz obozowych. Od tej nocy włączono wszystkie aparaty barakowe do centrali przy biurze komendanta obozu. Uczyniono to wobec oczekiwanej możliwości nalotów aliantów na Śląsk i wobec konieczności utrzymywania łączności wszystkich baraków więźniowych z barakiem komendanta obozu. Oczekiwane naloty jednak nie przychodziły. Przyszło natomiast co innego. W soboty o godzinie 22 wrocławska rozgłośnia poczęła nadawać audycje z historii muzyki niemieckiej, ilustrowane bogato muzycznymi dziełami wielkich mistrzów.

Leżąc jak zwykle w nocy przy otwartych oknach wchłanialiśmy mroźne powietrze wraz z cudną melodią dźwięków, spływających do nas z szafiru nieba, usianego niezliczonymi gwiazdami.

Przesłuchaliśmy już Bacha, Haendla, Haydna, Mozarta, Beethovena, Webera i oczekiwaliśmy następnego wykładu o Wagnerze.

Do wykładu tego nie doszło. Na kilka dni przed oczekiwaną audycją olbrzymi, przeciągły błysk rozdarł uroki pewnej nocy zimowej. Po długiej, długiej przerwie uszu naszych dobiegły przeciągłe grzmoty potężnych wybuchów. To alianci bombardowali po raz pierwszy Wrocław.

Owinieci w koce tłoczyliśmy się w sieniach baraku. Na dworze było jasno jak w dzień. Błyskawice świeciły nieprzerwanie. Nieprzerwane grzmoty biegły do nas z Wrocławia, odległego w prostej linii powietrznej o kilkadziesiąt kilometrów.

Więźniowie zacierali ręce. Rozmowy stały się zbędne. Przemawiały do nas nie słowa, lecz grzmoty wybuchów. Następnego wieczoru po apelu nie mogłem sobie odmówić przyjemności i wstąpiłem do baraku Marceliego. Grono tajnego uniwersytetu było dziś wyjątkowo liczne. Zresztą nikt nie ukrywał się już z niczym. Wszędzie było pełno więźniów gestykulujących i rozprawiających ze sobą. Wykład Marceliego był poświęcony tego wieczoru ogłoszeniu Cesarstwa niemieckiego w

roku 1871 po wojnie prusko-francuskiej. Oczy mówcy i oczy słuchaczy błyszczały.

O wznowieniu przez Bismarcka i przez Wilhelma I gmachu Imperium Niemieckiego przemawiała do nas tradycja dnia wczorajszego. O rozsypanych się w gruzy tego Gmachu Imperium, przemawiały do nas - nocy dzisiejszej - błyski ognia i brzmiały jeszcze w uszach pioruny wybuchów. Słowa Marceliego brzmiały stłumioną potęgą. Mówca nie potrzebował wysilać głosu - potężna prawda historii przemawiała jego ustami.

Upłynęły dwa następne dni. Na szosy, okrążające obóz koncentracyjny w Gross-Rosen wypełzły węże wozów, zaprzężone w rosłe konie bauerów. Wysłane słomą i dywanami, naładowane dobytkiem, przepełnione kobietami, starcami i dziećmi ciągnęły niekończącym się sznurkiem wozy uciekinierów niemieckich. "Przyszła kryśka na Matyska" mówili do siebie więźniowie. "Teraz przyszedł taki sam rok na was jakim był dla nas rok 1939". Jednocześnie w ślad za wozami poczęły nadchodzić oddziały więźniów ewakuowanych z licznych obozów, dookoła których zaciskał się coraz bardziej pierścień armii radzieckiej. Jedną z pierwszych przyszła grupa więźniów wrocławskich ze słynnej na cały świat wytwórni wozów kolejowych. Ci naoczni świadkowie pamiętnego bombardowania Wrocławia opowiadali cuda o rozmiarach zniszczenia. Że w tych opowiadaniach nie było przesady przekonaliśmy się naocznie w kilka miesięcy po tym. W serca nasze wstąpiła już nie nadzieja, lecz pewność odmiany losu narodu polskiego i jego obywateli. W tym okresie nie rozstawaliśmy się z Marcelim, spędzając każdą wolną chwilę, oczekując, że lada chwila więzy SS-manów pękną, a my będziemy wolni.

Tymczasem wypadki nie rozwijały się tak prosto, jakeśmy to sobie przedstawili. Do obozu napływały coraz to nowe gromady jeńców z kierunków wprost przeciwnych sobie. W rozkazy dowództwa niemieckiego wkraść się chaos. Przyszło na piechotę z Oświęcimia wiele tysięcy więźniów - mężczyzn i kobiet. Z największym pośpiechem Komenda obozowa wznosiła dla nich nowe baraki i podwajała rozmiary obozu. Wszystko na nic. W parę dni obóz został wypełniony po brzegi. A tymczasem nadchodzące meldunki donosiły o zbliżających się nowych oddziałach więźniów.

Po obozie gruchnęła wieść, że i obóz Gross-Rosen będzie ewakuowany. SS-mani pod przewodnictwem lekarza obozowego Niemca robili jakieś tajemnicze opisy, notowali kto ich zdaniem może wytrzymać ewakuację na piechotę, a kto będzie musiał być ewakuowany ciężarówkami. Obawialiśmy się tej humanitarnej usługi SS-manów. Słyszeliśmy nieraz jak takie humanitarne ciężarówki skręcały naraz z drogi do lasu. Kilka salw z kulomiotów i wszystko było skończone. Podejrzenia nasze wzmagają się coraz bardziej. Wzmogły się one zwłaszcza z chwilą, gdy pewnego ranka SS-mani wypędzili więźniów z łopatami poza obóz i kazali im kopać rowy ochronne przeciw zbliżającym się wojskom radzieckim. Dziwne to były rowy. Zamiast ciągnąć się przez lasy w ukryciu drzew, wiły się one przez gołe łąki u podnóża wzgórz lesistych, widoczne dla wszystkich, a więc i dla nadciągającego nieprzyjaciela.

Widzieliśmy już takie kopanie rowów ochronnych w Majdanku w listopadzie 1943 r. I tam kopano rowy tuż za ogrodzeniem 5-go pola, i tam też słyszeliśmy SS-manów rozpuszczających wieści, że to rowy ochronne przeciw oddziałom radzieckim, zapuszczającym się w te strony. Nie wierzyliśmy im, ale nie przypuszczaliśmy wtedy, że termin jakiegokolwiek zużytkowania tych rowów będzie aż tak bliski. Z rana dnia 3 listopada 1943 r. wpadł do nas do baraku więźniów-lekarzy i sanitariuszy, SS-man Willi, będący z nami w zażyłych stosunkach i szepnął: "Wszyscy aryjczycy ubrać się ciepło i zaopatrzyć w je-

dzenie na kilka dni. Świąci się coś niedobrego".

W pół godziny potem 5-te pole zaroziło się od oddziałów SS-manów uzbrojonych w automaty i przybyłych z poza Majdanka. Przybyli SS-mani otworzyli szeroki korytarz, obstawiony gęsto posterunkami broni maszynowej i posterunkami psów-wilków, trzymanych na smyczy. Tym korytarzem przepędzono nas z 5-go pola na pole 3-cie. Chorych nie mogących się ruszać o własnych siłach, przewożono ciężarówkami ze wszystkich pól także na pole 3-cie. Najwyższe władze obozowe i jacyś przyjezdni hitlerowcy w mundurach o wysokich oznakach wojskowych przestrzegali osobiście wykonywanie wydawanych rozkazów.

Ledwo rozłożyliśmy się na naszych nowych leżach na 3-cim polu i ledwo więźniowie - Żydzi z innych pól, zostali zgromadzeni na 5-tym polu, jak w całym obozie odezwały się wszystkie głośniki. Słodkie wiedeńskie walce, smętne hiszpańskie tanga i skoczne melodie marszów wojskowych wypełniły obóz i przestrzeń dookoła obozu w odległości co najmniej jednego kilometra. Ktoś obcy zbliżający się z daleka do obozu byłby przekonany, że trafił na jakąś uroczystość i że w obozie obchodzone jest jakieś uroczyste święto. Gwar dola-tujący z 5-go pola przypominał bowiem rozgwar olbrzymiego kiermaszu. Człowiek obcy, zbliżający się do obozu, byłby przekonany, że za chwilę ujrzy tłum różnobarwny, zobaczy liczne budy jarmarczne i kręcące się karuzele. Huk licznych, puszczonech w ruch SS-manów motorów wzmaczał jeszcze bardziej wrażenie owego niewidzialnego do-tąd "jarmarku".

Rzeczywiście na 5-tym polu leżącym nieco opodal, bo na samym końcu obozu, odbywał się ostatni w życiu każdego więźnia - Żyda "Jarmark na życie ludzkie". Część pola najbliższa bramy wjazdowej była wypełniona więźniami ustawionymi w czworoboki, mężczyznami, kobietami i dziećmi /wiek nie odgrywał tu żadnej roli/. Ze wszystkich wież strażniczych, opasujących 5-te pole i obsadzonych w tym dniu wyjątkowo liczną załogą, były skierowane lufy karabinów ma-szynowych. W tych warunkach wystarczyło by jednego jedyne go sygnału trąbki polowej, aby ogień maszynowy położył pokotem w jednej chwili całe pole tych zgromadzonych więźniów. Ale ten system byłby zbyt kłopotliwy i nie opłacił by się władzom obozowym. Rozplątywanie zwłok, rozbieranie ciał, zwożenie ich do krematorium zajęło by zbyt dużo czasu i byłoby mało wydajne. Każdy więzień miał bowiem pewną ilość kosztowniejszych przedmiotów ukrytych na sobie. Obszu-kiwanie zwłok byłoby zbyt kłopotliwe w tych warunkach. Ofiara mu-siała opuścić padoł płaczu w takim stanie, w jakim przyszła nań w chwili urodzenia, a więc w stanie nagim. W tym celu ustawiono lu-dzi w szeregi. Na sygnał dany przez starszego SS-mana odrywano co pewien czas każdy skrajny szereg od reszty czworoboku więźniów i wpędzali go do baraków magazynowych, stojących w pobliżu wymie-nionych rowów. W baraku magazynie więzień smagany ulewą uderzeń rozbierał się w pośpiechu, SS-mani i kapowie pilnowali dokładnie aby każda część ubrania i bielizny zawędrowała dokładnie do odpo-wiedniego stosu i aby buty i trzewiki, lewy i prawy, były związane ze sobą swymi sznurowadłami. Nagich więźniów wypędzano w szalonym tempie na drugą stronę baraku i pędzono w regularnych szeregach do kwadratowych głębokich dołów ciągnących się przez całą szerokość pola. Na krawędzi rowów więźniowie stawali, nie mając gdzie iść. SS-mani i kapo zadawszy razy skazańcom odskakiwali w tył. Sygnał... Salwa karabinów maszynowych. Zabici staczali się do dołów. Oddział "porządkowy" kryminalistów zeskakował w razie potrzeby w dół wyrów-nując poziom i szeregi zwłok i opuszczał szybko rowy przed egze-kucją następną.

Tempo pracy było szalone. Pot spływał z katów. Jednocześnie lały się strumienie wódki. Wódki i jadła nie żałowano w tym dniu

nikomu z morderców. Wszystko odbywało się sprawnie. Mordowani wiedzieli, że nie unikną śmierci w żadnym wypadku. Ale ten rodzaj śmierci, który względem nich stosowano w tej chwili, był dla nich pomimo wszystko najkrótszy i przez to "najłagodniejszy". W razie najmniejszego oporu więźniowie zostaliby natomiasz poddani wyrafinowanym torturom przez obozowych zbrojców, którzy na to czekali.

Zaledwie załatwiono się z więźniami, Żydami z Majdanka, a już w oddali na początku drogi do obozu majdankowskiego ukazało się czoło nowego wielotysięcznego pochodu więźniów - Żydów wszelkiej płci i wszelkiego wieku z innych obozów Lubelszczyzny. Pole piąte działało ze sprawnością doskonale skalkulowanej maszyny. Wchłaniało żywych ludzi przez swą bramę wjazdową i grzebało ich martwe zwłoki w olbrzymich czworobocznych dołach naprzeciw bramy na drugim końcu pola. Przez 5-te pole Majdanka przeszło w tym dniu od wczesnego ranka do późnego wieczora 18 tysięcy ludzi, SS-mani nie ukrywali liczby pomordowanych. Praca ich została wynagrodzona. Każdy z szeregowych otrzymał za ten dzień dodatkowe wynagrodzenie 18 marek. Klęli nie krępując się, że obliczono ich tylko po jednej marce za 1000 ludzi i że wyższe szarże otrzymały od nich więcej.

Późno w nocy zamilkły warczące przez cały dzień motory, zagłuszające krzyki katowanych i jęki pomordowanych. Zamilkły tony walców, tang i skocznych marszów wojskowych. Gdy w ciemnej nocy zapadła nagle cisza, leżący obok mnie więzień Niemiec rzekł: "Byłem przez całe życie miłośnikiem muzyki, dziś wszczepiono mi do niej nienawiść".

Historia 5-go pola na Majdanku znana nam świadkom naocznym, nie była znana Marcelu. Marcel nie był w Majdanku, dramat 3 listopada 1943 roku dotarł do niego tylko z ust naszych.

Staliśmy obecnie w dniu pierwszej niedzieli lutego 1945 roku na wzgórzu Gross-Rosen, patrząc na żółtawą wstęgę owych "rowów strzeleckich" opasujących nasz obóz. "Drugi akt Majdanka czeka nas" powiedział Marcel. Zawróciliśmy w milczeniu i poszliśmy na zbiórkę na plac apelowy.

Wieczorem tegoż dnia siedzieliśmy z Marcelim przy stole w jego baraku. Marcel trzymał w ręku kawałek zdezelowanego noża i obstrugiwał nim jakąś białą deseczkę, starając się nadać jej kształt przypominający ciupagę. "Przygotowuję się do drogi" odpowiedział na moje pytanie - ujrzawszy moje pytające spojrzenie. "Trzeba być gotowym w każdej chwili do drogi". W nowo wzniesionych barakach czuć dzisiaj jakiś podejrzany "ruch". Skinąłem głową. Milczeliśmy obaj.

W takich chwilach - rozpoczynał ponownie Marcel - "Staje przede mną całe moje życie". Dziś w nocy myślałem o swoich, o Jadzi, Józku, Antce no i o wnukach".

"Starałem się nie zmarnować życia" - rozpoczął ponownie i zdał się - że to mi się udało. W każdym razie pozostanie po mnie spora gromadka ludzi rozmówianych w historii, pragnących i umiejących pracować. Poczuliśmy rozmawiać na tematy poszczególnych prac i poszczególnych ludzi. Zamilkliśmy znowu. Marcel patrzył w dal głaszcząc swą siwą czuprynę i siwe wąsy. Nie przeszkadzałem mu w jego myślach, zapadając we własne wspomnienie.

"Myślałem o Jadzi" - powiedział - "Lepszego towarzysza życia chyba trudno znaleźć. Pograżony w pracy we własnej dziedzinie byłem spokojny, że ona na swoim odcinku wykona wszystko jak najlepiej. Obdarzyła mnie dziećmi. Jest dla nich najlepszą matką i najlepszym wychowawcą. Co nas spotka w przyszłości - nie wiemy. W każdym razie dotąd jestem wdzięczny moim rodzicom, żonie, dzieciom, uczniom i przyjaciółom, że życie zeszło mi tak, jak zeszło". Więzień - wartownik baraku zameldował, że dano sygnał zamykania drzwi. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Był to nasz ostatni uścisk. Z rana dowiedziałem

się, że kilka baraków a w tej liczbie i barak Marceliego, opuściło w nocy obóz, udając się piechotą w nieznane.

Po 2-ch dniach ustawiono i nas w południe na placu apelowym, sprawdzono nazwiska. Rozdano po 2 bochenki chleba na każdego i po 1-nej puszcze konserw. Około godz. 15-tej wyprowadzono za bramę. Szliśmy i my w nieznane. Gęsty łańcuch SS-manów otoczył nasz pochód. Odległość od obozu do stacji kolejowej Gross-Rosen wynosiła około 4-ch kilometrów. Spotkaliśmy na tym odcinku 5 zwłok więźniów, leżących na skraju drogi w różnych odstępach od siebie. Prawdopodobnie nie mogli dotrzymać kroku swoim towarzyszom i byli zabici przez SS-manów.

Zimowe słońce zbliżało się do widnokładu. Weszliśmy już do miasteczka przy stacji, gdy nagle cały nasz pochód został wstrzymany. Staliśmy długo, nie wiadomo o co chodzi. Okazało się, że wojskowość zabrała przygotowane dla nas węglarki. Wracaliśmy w ciemności. Cała nasza uwaga była zwrócona na nasze stopy. Do pięciu zmysłów dołączył się zmysł szósty, zmysł wyczuwania gruntu pod nogami. Potknięcie się, upadek, zwichnięcie stawu skokowego - wszystko groziło niefortunnemu więźniowi kulą w łeb, lub pchnięciem bagnetu, jak przekonaliśmy się o tym w kilka dni po tym. Do opuszczonego przed kilku godzinami obozu Gross-Rosen dobrnęliśmy w zupełnych ciemnościach. Przywitało nas zdziwienie pozostawionych w obozie towarzyszy uznanych przez nasze władze obozowe za niezdolnych do dłuższej podróży. Powitał nas także huk motoru radzieckiego samolotu wywiadowczego, który dotarł do naszego obozu, a widząc zapalone światła w oknach i masę kręcących się ludzi skropił wszystko salwą karabinów, nie raniąc na szczęście nikogo.

Powtórny wyjazd ze stacji Gross-Rosen węglarkami nastąpił około godziny 8-mej rano. Nasz długi więzienny pociąg wspinał się na zmianę mozolnie w górę lub staczał się z zawrotną prędkością w dół. Mijaliśmy, nie zatrzymując się niezliczone stacje i stacyjki. Około godziny 16-tej wjechaliśmy w zwolnionym tempie na malutką odludną mijankę w rozbudowanych licznie peronach i torach. Na peronie, obok którego przejeżdżaliśmy stał wielki tłum mężczyzn pod eskortą żołnierzy. Nagle ze stojącego i z naszych przejeżdżających węglarek zerwał się radosny okrzyk: "To stoją nasi z obozu wyprawieni przed dwoma dniami na piechotę. Czekają pewnie na podstawienie pociągu. Bo po co przyprowadzono by ich tutaj na stację?".

Rzeczywiście byli to nasi. Nasz pociąg przejeżdżał bardzo wolno koło nich. Rozróżnialiśmy dokładnie poszczególne twarze. Ot i Marcel. I on nas dojrzał. Wymachujemy podnieceni czapkami. Uniósł swoją białą deseczkę - ciupagę. Wita i żegna nas zarazem. Takie było moje ostatnie widzenie z Marcelim.

Do Warszawy wróciłem z obozu dnia 30 maja 1945 roku. Byłem przekonany, że za kilka dni, lub kilka tygodni spotkamy się z Marcelim ponownie i przystąpimy ponownie do wspólnej roboty. Wszystkim, którzy pytali mnie o Niego, odpowiadałem, że Marcel jest w doskonałej formie, pełen zapału i planów na przyszłość.

Niestety, zginął w ostatnich dniach wojny, może już w pierwszych dniach po wojnie, wyczerpany potwornymi warunkami obozu, do którego los Go przerzucił. Zginął w okresie największej dezorganizacji życia obozowego, w chwili załamывania się wszystkiego, skąd więzień mógł otrzymać odrobinę pomocy dla utrzymania ciała przy życiu.

Podtrzymania dla swego ducha Marceli Handelsman nie potrzebował. Ducha miał dość w sobie, starczyło go dla niego i dla innych.

Upłynęło prawie dziesięć lat, opadła mgła dnia codziennego, rozproszył się kurz wszelkich drobiazgów, szczegółów i szczegółików. Ukazał się trzon uczciwego, pracowitego człowieka, dobrego syna i

i ojca i męża, nauczyciela i wychowawcy, przejętego swoją misją a nade wszystko - trzon dobrego obywatela - Polaka.

Widzę Go często w moich wspomnieniach, jak kroczy oparty o swoją białą deseczkę - ciupagę w swej ostatniej za życia pielgrzymce. Obłok zadumy spowija Jego czoło. Nikła biała deseczka zmienia w Jego rękach swój kształt, przekształca się w pastorał dobrego pasterza.

1.VIII.1954r.

Nr archiwum 4.6.73.



Po ewakuacji więźniów obóz Gross-Rosen opustoszał. Baraki spalone. Tylko żołnierze radzieccy myją w kałużach rozstopów zimowych swoje menażki by dalej pędzić za armią gnębieli.

Nr archiwum 1.4.16.3.

PRACA W GRUPIE MALARZY

Po rocznym pobycie w K.L. Auschwitz, gdzie pracowałem w tzw. komandach śmierci, wybrany zostałem w grupie 500 ludzi do K.L. Gross-Rosen. Kilka dni izolowano nas w baraku końskim, gdzie czekaliśmy na transport, pozostali oświęcimiaczy zazdrościli nam transportu rzekomo najlepszego, gdyż krążyła wersja, że będziemy zatrudnieni w ogrodnictwie. 3.VI.1942 roku po południowym apelu wymaszerowaliśmy w cywilnych ubraniach na dworzec, gdzie załadowano nas do bydłęcych wagonów. Na drogę dostaliśmy porcję chleba i 2 kawałki słonego sera, podróż trwała kilkanaście godzin przy wielkim upale w wagonie szczelnie zamkniętym, z pozostałością cementu, gdzie napakowano nas jak śledzi, nie dając całej drogi nic do picia, ani żadnego naczynia do załatwienia swych potrzeb.

4.VI.1942 roku rano zaczęło się wyładowywanie i formowanie piętek przy akompaniamencie krzyków, bicia, kopania, następnie marsz pod górę, miałem na myśli Golgotę, gdyż jeden z eskortujących nas SS-manów powiedział nam "szkoda was, ale tu będzie wasz koniec".

Po wejściu do obozu, sam obóz i jego załoga zrobiła na nas przykre wrażenie strasznej nędzy, a typy SS-manów, blokowych i kapów swoim bestialskim zachowaniem i wyglądem nie wróżyli nic dobrego. Po załatwieniu formalności obozowych, gdzie większość kolegów podawała się za ogrodników /ja podając swój zawód malarski/, kąpiel w kotle m² 2.00x3.00 brudnej wody, zostałem przydzielony na blok 8, do słynnego bandyty Oswalda Wecksa, który na wstępie nam oświadczył: "nie starajcie się, bo w ciągu dwóch tygodni wszyscy będziecie w krematorium", a to z tego względu, że kilku więźniów Niemców przybyłych z nami, pożaliło się swym współrodakom, że polacy zajmują wszystkie funkcje w Oświęcimiu, maltretują i okradają więźniów niemieckich. Tak z numeru 18612, zostałem nr 2639. Od pierwszych chwil zaczęła się masakra naszego transportu, przypominając nam, iż tu nie Oświęcim tylko Gross-Rosen. Jeden z naszych kolegów b. marynarz nie pozwolił się uderzyć funkcyjnemu więźniowi Niemcowi, a wieść w małym wówczas obozie rozeszła się lotem błyskawicy, zaczęli się schodzić blokowi, kapowie, bijąc, kopiąc nie-szczęśliwca tak, że następnego dnia wyzionął ducha.

Nasz transport podzielono na dwie części:

1. Steinbruch
2. Barakenbau

Ja dostałem się na barakenbau, kapo, którego nam przedstawiono o nazwisku Gajko uśmiechnął się złowrogo, do pomocy miał dwóch, później bardzo słynnych i wyjątkowo okrutnych morderców, jak Kurt Vogel, później blokowy karnej kompanii, Kaczyska nr 1445, później blokowy 9 i 8 bloku /po wojnie skazany w Polsce na śmierć/.

Pracę w Gross-Rosen zacząłem w górnej części obozu przy ładowaniu kamienia na wózki żelazne /lory/ i wożenia dobierając dość mocnych trzech kolegów, licząc na dłuższe utrzymanie się przy życiu, gdyż słabszych szybko wykańczano na skutek bicia, głodu, a na dopełnienie okrucieństwa. Pracowaliśmy boso bez nakrycia głowy, które musiała być golona brzytwą raz na tydzień, tępszą brzytwą od noża, to też masowo wykańczali się ludzie od nóg i głowy. Początkowo każdy z nas wybierał płaski kamień, żeby nie kaleczyć stóp,

co zwalniało tempo pracy rozwścieczeni SS-mani i kapowie krzycząc schnell bewegung, bijąc, kopiąc, zwiększali tempo pracy. Po dwóch tygodniach z mojej grupy wykańcza się Leon Pidyński, w trzecim tygodniu Władysław Spyrka, za kilka dni trzeci którego nazwiska nie pamiętam.

Byłem bity i kopany, kapo uderzył mnie kilkakrotnie łopatą, a gdy styl się złamał, wbił mi trzymany kawał w rękę, w czoło. Już w Oświęcimiu uodporniłem się, wytrzymując bicie, nawet po kilkukrotnym przewracaniu mnie, skopaniu zboczony krwią wstawałem, a na bloku Osi codziennie odświeżał mi podbite oczy, usta i nos.

Po siedmiu tygodniach, kiedy więcej niż połowa oświęcimiaków poszła do krematorium, zapuchły mi nogi do kostek. Mimo niezłomnego ducha na skutek wyczerpania fizycznego, liczyłem się z szybkim końcem, koledzy, którzy nie mogli iść o własnych siłach podtrzymywani przez kolegów, lub niesieni na kijach spychani byli na głównej bramie przez SS-manów z bezzungu, a czekający SS-man na dole dobijał ich drągiem i obcasami.

Na krankeuban ciężko się było dostać, tylko nielicznym, gdzie też większą część wykańczano, to też po porannym apelu kiedy było arbetskomandoformierch tzw. muzukmani przewracali się na placu apelowym, a dobijający ich byli: raportführer Eschner, jego zastępca Schrammel, Galasch, Drozdowski, Juhelik i inni.

Ósmego tygodnia wywołał mój numer i Stefana Żurawskiego arbeitdienst, dołączył nas do grupy komanda Iudistrie-hof i w ten sposób dostaliśmy się do malarki. Maler kapo Alfred Stoll posłał mnie do malowania okien na blok 10. Byłem wprost szczęśliwym, że dostałem się do swojego fachu, co najważniejsze pod dach, co zwiększało szanse utrzymania życia, współczując pozostałym kolegom. Praca w malarstwie nie była jednak lekką, wykańczało się dużo Niemców, Holendrów i innych narodowości. Po skończonej pracy i apelu maler kapo zapowiadał „sem-tliche malor aubretten” i prace zaczynaliśmy od nowa na terenie obozu przy nowo budujących się blokach, jak również zorganizowanych przez kapo tzw. „schwarzarbeit”, gdzie kapo brał za robek od blokowych w postaci papierosów, chleba, margaryny i innych. Przy pracach tych dostawaliśmy od blokowych po misce zupy, a czasem i więcej późniejszym czasem schwarzarbeit wykonywaliśmy na własną rękę nieraz przy dużym ryzyku po całych nocach i przy tej okazji nieraz na utrzymaniu miałem dużo kolegów przez co stałem się „dobrym organizatorem”, praca trwała codziennie i całą niedzielę do 1-szej, 2-giej, 3-ciej.

Bezinteresowna praca długa, syntetycznymi farbami szkodliwymi dla zdrowia przy marnym odżywianiu, wyczerpywała ludzi, a ówczesny Lagerführer zenterslurlmführer Anton Thuman, krwawy kat interesował się żywo pracami malarskimi, przeważnie przy wykańczaniu baraków SS i na odchodne oświadczał „Neun diese barake bis norgen abend ist nicht forting alles gehen krematorium”. To nie były żarty, kto siedział za jego panowania to wie jaką miał władzę i co potrafił. Niejednokrotnie pędzel ławkowy trzymałem w dwóch rękach, bo już nie miałem siły. Też obowiązkowo trzeba było się ruszać, bo kiedy skończył się nawał pracy, następowała redukcja, a mniej wydajnych kapo pozbywał się, gdzie kapo strassenbau Hary Lipiński szybko ich wykańczał.

W dużej redukcji w początku października 1942 r. zwolniono nawet Niemców, z Polaków też mnie przekazano H. Lipińskiemu. Pewnego dnia wysłał mnie wraz z kol. J. Jasińskim zanieść do Komanda nosilkę węgla, obok paczki z węglem stała duża puszka po marmoladzie o podejrzanej zawartości, zanurzyłem w niej rękę i wyciągnąłem na kości kawał mięsa wołowego, zaczęliśmy oprawiać to mięso, resztę

chowając do kieszeni, zwolniony wraz z nami Niemiec zrobił się unterkapo, przyłapał nas na tej "organizacji", oskarżył H. Lipińskiego, który zabrał mi moją zdobycz, zbił mnie pięściami, a na koniec odliczył mi na tył 25 styli od kilofa, po czym w zwiększonym tempie nosiłem kamienie. Jasińskiego przyjemność ta ominęła, bo znaliśmy go jako "pupilem" bandyty. Za kilka dni baer przyjaciel komendanta zwrócił się do niego o 6-ciu ludzi do kopania buraków cukrowych. Lipiński wezwał 2-ech jedynych w komandzie Niemców i czterech Polaków. Ja zgłosiłem się też, ale kapo odepchnął mnie, mówiąc "gehen du nichts du spitrbube" orientując się, że w komandzie nie będzie można się "odżywić" zaryzykowałem go prosić i zwróciłem się do niego - Lipiński masz polskie nazwisko, chyba trochę krwi polskiej w tobie płynie, weź mnie, a ów bandyta zapytał mnie, czy nie będę kradł, skwapliwie oświadczyłem, że nie. Boże mój drogi złodzieju ukradł jemu jedzenie.

W ciągu czteroletniego siedzenia w obozach koncentracyjnych bo po Gross-Rosen - Dachau, oprócz codziennej masakry, mordowania ludzi różnymi sposobami tzn. gazowanie, wieszanie, strzelanie, zaszczytywanie fenolem, bicie kijami lub obcasami, napatrzyłem się bez liku, ale gdy komuś brakło do życia w odpowiednim czasie miski zupy, lub porcji obozowego chleba /drzewo, słoma, kasztany, i inne śmieci/ to chociaż w kilku godzinach miał tego do syta, to już go nie uratowało - przyszła bezwzględna śmierć o ile to miało miejsce wieczorem, gdyż w czasie dnia człowiek w tym stanie był dobijany. Smutną rzeczywistością był fakt fizycznego wyczerpania organizmu, człowiek taki robił wrażenie pijanego, największą chęć życia wyrażał obłąkany umysł i zaszklone oczy.

Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności dostałem się na przeciąg 3-ech tygodni do "Bauerkomando" gdzie rano wychodząc oddychaliśmy wolnościowym na pół powietrzem pod eskortą SS-manów, z tym, że nie widzieliśmy codziennej makabry obozowej i nawet taki krwawy zbir, jak SS Drozdowski obchodził się z nami względnie, licząc się z ludnością cywilną. Głodu przez ten czas nie odczuwaliśmy, bo baer dwa razy dziennie dawał nam jedzenie do syta, oprócz tego wysyłano nam nasz posiłek.

Po powrocie do malarni Stefan Żurowski nie został przyjęty, strasznie opuchnięty wieczorem, błagając mnie o pomoc - nie mogłem dla niego już nic zrobić, był w stanie kompletnego wyczerpania, rano poszedł na druty i strzał kuli przeciął pasmo jego życia.

Znow zaczęło się tempo pracy dla III Rzeszy. Pewnego ranka zostałem przydzielony do rewiru na 8 bloku, B skrzydle, zaczęliśmy od Tagesraum, gdzie odbywało się przyjęcie chorych, leżało tam wówczas kilkudziesięciu ludzi pół martwych, sufit i ściany do połowy malowaliśmy farbą klejową z Franciszkiem Kolem, nad pryczami okrywaliśmy nieszczęśliwców, żeby ich nie pochłapać, a kiedy mieliśmy zacząć lamperię, dwóch flegarów, zniemczonych Polaków sądząc po akcencie mowy, wskoczyło szybko na prycze i po kolei jeden biorąc za głowę, a drugi za nogi z rozmachem rzucali ich na środek sali, potem wynieśli do waschraumu, skąd pojechali do krematorium. Takie obcowanie codziennie ze śmiercią oczekując swego kresu, ciągnęło się w nieskończoność, chęć przeżycia tego koszmaru w takich warunkach była nie do pomyślenia. Ja osobiście starałem się przeżyć od poniedziałku do środy, potem do soboty no i niedzielę, licząc się z tym, że umrzeć zawsze zdążę, a może ktoś jeszcze więcej ode mnie przecierpiał i tak przeszło cztery lata. Ludzie, którzy zwątpili, lub też mieli słaby organizm i załamywali się duchowo wykańczali się szybciej, albo szli na druty. Kłamstwem było by powiedzieć "przeżyłem bez niczyjej pomocy", prawdę mówiąc długoletni b. więźniowie zawdzięczają życia swoim współwięźniom, a zawsze mówiliś-

my raz na wozie, raz pod wozem. W lutym 1943 roku wstałem rano po godzinny śnie, załamany duchowo, bo Oswald Weeks blokowy nie mógł spać nad ranem, zdenerwowany wyszukiwał muzyłmanów, ścigał z łóżka i na podłodze dobijał, tak wówczas wykończył kilkunastu ludzi. Kiedy po gongu przydzielony zostałem do zamiatania Tagesraum, przesunąłem drewniaki Niemcowi, wycierając kurz na czyste miejsce, ten uderzył mnie w twarz, zapomniałem się że siedzę w obozie, złapałem go za kłapy, uderzając go głową, delikwent rozłożył się na podłodze, zacząłem go kopać, pierwszy zauważył Max Schuster ze Steinbruchu, doskoczył do mnie bijąc, potem Osi, Bachmamsulener i inni bandyci. Natychmiast oprzytomniałem widząc swoją śmierć, wyskoczyłem na podwórze, sprytny Osi kopnął mnie w piętę, przewróciłem się i cała zgraja bandytów zaczęła mnie bić, kopać, kolegom odgarniającym śnieg odebrano sprzęt i tym dotkliwie mnie pobito. Uratował mnie gong apelowy, bowiem oprawcy rzucili się na apel. Przewracając się i podnosząc, nacierałem się śniegiem po rękach, nogach dobrnąłem na plac apelowy, co uratowało mi życie.

Oprócz nadludzkiego wysiłku w pracy, bicia przez SS-manów, oberkapo Augusta Smidera, codziennie bity na bloku, jednak miałem chęć przeżycia.

Po porannym posiłku o ile to tak można zwać, jeden z muzyłmanów postawił na kotle przede mną do powtórnego wiania meil zupy 1/2 litra /słoma mielona/, kiedy dostał kielą po grzbiecie odskakując od kotła, rozbijając moją miskę za schüssel kaput gemach, dostałem od Osiego obfitą porcję batów mimo, że chciałem zapłacić za 20 misek, potem zebrane skorupy niosłem do latryny, spotkał mnie blokowy 19 S.K. Vogel zatrzymując "kommen hier bis du schüssel kaput gemach, wo hiegensdu deine block", powiedziałem zaprowadził mnie do Osiego, ten uderzył mnie kilka razy, a potem polecił załatwienie mnie znanemu z okrucieństwa Peter Wilmsowi, który wskazał mi jeszcze nie wykończony waschraum. Wchodząc westchnąłem do Boga, że to jest moja ostatnia droga. Wilms potężna postać wziął olbrzymi drąg w dwie ręce, podniósł nad moją głowę - pomyślałem Panie Boże daruj mi moje grzechy, bandyta ów rzucił drąg w kąt, uderzył mnie pięścią w twarz, przewróciłem się, kopał mnie strasznie, a kiedy się podniosłem, jakimś nadludzkim wysiłkiem uderzył mnie powtórnie, zrezygnowałem z beznadziejnego życia, bo nie widziałem możliwości utrzymania się, a myśl, że kiedyś to nastąpi, sądziłem że przyszedł ten czas, bandyta ów zostawił mnie, na odchodnym oświadczył mi że rozbicie miski jest sabotażem. Z trudem podniosłem się wielkim, a że to była niedziela, tym razem wolna od pracy, przy pomocy kolegów, którzy mnie masowali, robili okłady, podtrzymując na duchu, zawzięcie walczyłem o życie.

Czym dłużej żyło się w obozie, tym większa była chęć walki, uodpornił się organizm ludzki, myśl o sromotnym przegraniu wojny przez naszych katów, w co święcie wierzyliśmy, dodawała nam bodźca za wszelką cenę wytrzymać. Nie potrafię powiedzieć dlaczego wytrzymałem ten czteroletni koszmar, chyba dzięki silnej woli, niezłomności ducha, mocnemu organizmowi i sile wyższej. Kto nie siedział w obozie koncentracyjnym, to żadne opowiadanie, filmy, ani też książki nie pomogą do wyobrażenia sobie tych makabrycznych scen. Oby to więcej w ludzkości się nie powtórzyło.

Nr archiwum 4.6.9.

WOLNOŚĆ PRZYSZŁA W PORĘ

Kiedy w dniu 12 lutego 45 roku ewakuowano ostatnią sześcioty-sięczną grupę więźniów Gross-Rosen przed zbliżającą się armią ra-dziecką, zdawaliśmy sobie sprawę, że straszliwa i okrutna wojna kończy się i klęska Niemiec w którą wszyscy od początku wierzyliśmy wreszcie się dokonuje.

Do dworca w Gross-Rosen było zaledwie 4 km szliśmy setkami a każda z nich prowadzona była przez dziewięciu SS-manów i jednego, który szedł na końcu z psem. Ten miał specjalne zadanie do wykona-nia ktokolwiek przystanął, zachwiał się czy upadł nie mogąc iść da-lej, strzelał przykładając pistolet do głowy. Nie pomogło, że ko-ledzy słabnącego chcieli do dworca doprowadzić czy donieść nawet, niestety musieli jedynie wyprowadzić z kolumny, ten żegnał ich smutnym uśmiechem i za chwilę padał strzał. Mimo że te ostatnie sześć tysięcy to więźniowie najzdrowsi, a 4 km nie jest daleko, je-dnak tych którzy nie mogli dojść było przeraźliwie dużo i każdy ka-mień, każde drzewo przydrożne zaprawione było krwią i mózgiem tych nieszczęśliwców. Z Gross-Rosen do Hersbruck znajdującego się o 30 km na wschód od Norymbergu jechaliśmy 65 godzin w otwartych prze-znaczonych do transportu węgla wagonach po 130 - 140-tu w jednym. Było tak ciasno, że nie mogliśmy nawet nogi wykręcić na podłodze nie mówiąc już o tym, ażeby na chwilę usiąść.

Na drogę dostaliśmy chleb i konserwę mięsną, byliśmy jednak tak wygłodzeni, bo już pierwszego dnia większość zjadła swoje porcje. /W Dreźnie połówkę więźniów naszego transportu skierowano do Leit-meritz w Czechosłowacji/.

Była to podróż niesamowita, dojechaliśmy w stanie kompletnego wyczerpania w czym pomógł padający przez ostatnią dobę deszcz ze śniegiem. Wyszliśmy z wagonów o godz. 23-ciej przemoczeni zmarznię-ci i teraz dopiero mogliśmy zobaczyć skutki tej naprawdę straszliwej podróży. Do obozu było około czterystu metrów, szliśmy w bło-cie po kolana a każda czwórka wlokła trupa czy żyjącego jeszcze więźnia. Widok tej karawany ślaniających się w ciemnościach cieni i półtrupów wlokących się w kałużach zmieszanego ze śniegiem błota za ręce i nogi swoich nieżywych i żyjących jeszcze kolegów a po wejściu na teren obozu składających swój ciężar na wielki stos jak stare niepotrzebne szmaty, był chyba najbardziej tragicznym obra-zem jaki mi został z tamtych czasów w pamięci.

W Hersbruck w ciągu kilku tygodni z dwóch tysięcy zostało przy życiu zaledwie pięciuset. Zginęło tu wielu dzielnych ludzi, którzy nie wytrzymali warunków tego obozu, jak gdyby utopionego w błotach.

Nie ma możliwości umyć się, oczyścić z błota, znów są wszy, ty-fus i biegunka, które dziesiątkują ludzi, wyglądamy jak dzikie wy-głodzone trzymające się kurczowo życia zwierzęta. Mija kilka ty-godni, chodzimy siedem kilometrów do pracy gdzie budujemy sztolnie, podziemne hale i fabryki, pracujemy umazani w błocie i cemencie do pasa, zdajemy sobie sprawę, że w tych warunkach długo nie wytrzy-mamy.

Upłynęło jeszcze wiele trudnych, tragicznych, przynoszących ból cierpienie i śmierć dni, ale wojna nieuchronnie zbliżała się do

końca, widzieliśmy strach w oczach Niemców, widzieliśmy codziennie dziesiątki i setki samolotów amerykańskich i to nas w jakimś stopniu czyniło odporniejszych i wytrwalszych.

W Hersbrück znalazłem się wraz ze swoim dobrym przyjacielem z Gross-Rosen Zbigniewem Gałczyńskim z Warszawy i w tych ostatnich dniach kończącej się wojny byliśmy czujni i uważni. Nie po to przeżyliśmy piekło obozów koncentracyjnych ażeby u progu wolności stracić życie. Dnia 15 kwietnia rozpoczyna się nasza ostatnia ewakuacja, podzieliliśmy się ze Zbyszkciem ostatnim zorganizowanym poprzedniego dnia kawałkiem chleba i z ostatnią grupą czterystu więźniów opuszczamy Hersbrück. Były to dni wielkiego głodu, Amerykanie byli już blisko. Bombardowano bezlitośnie linie kolejowe, miasta i cały przemysł.

Pierwszego dnia po całodziennym marszu, zamykają nas w kilku stodołach w jakiejś wsi, gdzie bardzo zmęczeni i głodni kładziemy się spać. Słuchając kroków pilnujących nas SS-manów, rozmyślamy o tym co nam przyniesie dzień następny i czy doczekamy się upragnionej ponad wszystko w każdej godzinie naszego życia w obozie wolności. Pragniemy ocalenia, uratowania się z tego piekła. Było to tak silne, że chowało się głowę w barłóg, tłumiąc rozpaczliwie wydobywające się z piersi jęki. Następnego dnia rano po odliczeniu wszystkich, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Okazało się jednak że w dzień daleko nas nie zaprowadzą, samoloty amerykańskie latały coraz częściej i coraz niżej. Po kilku godzinach przerywanego bardzo często przez lotnictwo marszu, wprowadzono nas w las i tam na dużej polanie otoczeni kordonem posterunków czekaliśmy zmierzchu. W między czasie rozdano nam po dwie łyżki stołowe zupy konserwowanej i odprowadzeni po kilkunastu szliśmy do wsi po wodę i własnym przemysłem rozpalając ogniska, gotowaliśmy w menażkach porcje zupy, które były tego dnia naszym jedynym pożywieniem.

O zmierzchu coraz bardziej głodni i zmordowani ruszyliśmy w dalszą drogę, która dla bardzo wielu miała być już ostatnią drogą życia. W tym nocnym marszu szliśmy ze Zbyszkciem obok siebie, rozmawiając o ucieczce. Zdawaliśmy sobie sprawę, że może być ona jedyną szansą uratowania życia, z którego jeszcze mimo strasznego wyczerpania nie zrezygnowaliśmy. Omawialiśmy urywanymi zdaniem najrozmaitsze sposoby tej ucieczki, zdając sobie sprawę, że im wcześniej wykorzystamy jakąś okazję tym większe są nasze szanse z uwagi na wyczerpujące się coraz szybciej resztki energii i siły. Szliśmy bocznymi drogami przez uśpione i pogrążone w ciemnościach wsie, gdzie czasem tylko zaszczeakał pies wystraszony albo musieliśmy usuwać się z drogi jadącym zamaskowanym zielenią w przeciwnym kierunku czołgom, wyglądającym jak ruchome kępy krzaków, w których świeżej, wiosennej zieleni trwożliwie chowały się grupki niemieckich żołnierzy, którym przez wiele lat wmawiano, że zawojują świat.

W pewnym momencie przy skrzyżowaniu wiejskiej drogi zatrzymano nas i Niemcy z najbliższych zabudowań wyprowadzili jakiegoś wieśniaka, nie orientując się w jakim kierunku powinni iść. Usiedli na przydrożnych kamieniach i świecąc latarkami na wyjętą mapę, uzgadniali i analizowali z przyprowadzonym wieśniakiem kierunek dalszego marszu. Staraliśmy się wraz ze Zbyszkciem w tym momencie przesunąć poza plecy wszystkich kolegów, aż znaleźliśmy się po przeciwnej stronie drogi opierając plecy o jakieś zabudowanie, w którym dostrzeegliśmy o metr od nas ciężkie żelazne drzwi lekko uchylone. Próbuąc poruszyć ręką stwierdziłem, że nie można ich ani otworzyć szerzej, ani przymknąć, ale wydawało się, że luka ta wystarczy, ażebyśmy mogli się przez nią przecisnąć i wtedy właśnie usłyszeliś-

my zbliżający się wóz konny, który za chwilę wyłonił się z ciemności. Bez powiedzenia jednego słowa zorientowaliśmy się, że wóz przejeżdżając obok nas rozdzielił i zasłonił przed siedzącymi i stojącymi najbliższą nas SS-manem trzymającym przy nodze psa. Ostatnie pełne napięcia, ale uważne spojrzenie na wszystko, pozwoliło upewnić się, że nikt na nas nie zwraca uwagi i kiedy wóz załadowany na wysokość dwóch metrów różnymi gratami mijał nas kryjąc jak parawan nasze sylwetki, w sekundę byliśmy za drzwiami, które się nawet nie poruszyły. Staliśmy z drugiej strony drzwi słuchając straszliwego łomotu naszych serc. Były to sekundy niebywałego napięcia, zdawaliśmy sobie sprawę - że jeżeli ktoś nas zauważył to za chwilę otworzą się drzwi, wywloką nas do rowu przy drodze i wszystko na próżno, a koniec wojny już widać, już pachnie wolność, której tak bardzo pragnęliśmy walczyć o życie w warunkach nieznających w dziejach ludzkości analogii.

Po krótkiej chwili, bardzo powoli i z jak największą ostrożnością, zaczęliśmy posuwać się w głąb pomieszczenia, które było chyba jakimś olbrzymim kopcem czy piwnicą. Uszliśmy kilkanaście metrów i usiedliśmy na podłodze wysypanej żwirem.

Panowały tu nieprzeniknione ciemności i było bardzo chłodno, siedzieliśmy ze wzrokiem utkwionym w lukę uchylonych drzwi, przez którą dostrzec można było rozjaśniający się świt. Po chwili znów ostrożnie i powoli, zbliżyliśmy się do drzwi, przez chwilę stałem nasłuchując, a upewniwszy się, że panuje niczym nie zmacona cisza, wyszedłem na drogę. Był szary świt, a w oddali dostrzec można było znikającą kolumnę więźniów.

Wróciłem do Zbyszka, i za chwilę wychodzimy na drogę, przebiegamy ją, skaczemy przez rów w dół na łąkę i biegniemy do kładki położonej przez dość szeroki strumień. Tuż przed kładką zatrzymuje nas w miejscu krzyk "zatrzymajcie się" - zmartwieliśmy, oglądamy się ze strachem a przez łąkę biegnie jeden z naszych kolegów Bolesław Cepuch również z Warszawy, który jak się okazało obserwował naszą ucieczkę, nie zdażył jednak i dopiero kiedy wóz, który nam umożliwił ukrycie się znalazł się na jego wysokości skoczył za rosnący przy samym murze olbrzymi dąb gdzie wtulony i nie zauważony przez nikogo, czekał na nasze wyjście. Uściskaliśmy się mocno i biegiem do znajdującego się o dwieście metrów od nas lasu. Po chwili już w lesie siadamy zmęczeni omawiając plan dalszej wędrówki, której celem było jak najszybsze dostanie się do Norymbergu, zajętego już podobno przez Amerykanów.

Zagrzebaliśmy zbyteczne i przeszkadzające w dalszym marszu rzeczy, upodobniliśmy się w miarę możliwości do normalnych ludzi, zacierając ziemią i skrobiąc nożem malowane olejną farbą na cywilnych ubraniach czerwone pasy i olbrzymie litery K.L., którymi ozdobiono nas w obozach kiedy brakło pasiaków i ruszyliśmy w dalszą drogę na której końcu czekała na nas wolność albo ale o tym w tej chwili nie chcieliśmy myśleć. Dalsza droga to godziny i dni straszliwego wysiłku, głodu i napięcia nerwowego, nie mieliśmy przecież żadnych złudzeń w razie dostania się w ręce Niemców, przypadków takich widzieliśmy wiele i dlatego cała nasza uwaga, czujność, skierowane były w zasadniczym celu - nie być przez nikogo zauważonym, omijając drogi i z lasu wyjść jedynie w razie koniecznej potrzeby.

W tej ucieczce miałem dzielnych i wspaniałych partnerów, Zbyszek i Bolek byli młodszy ode mnie o lat 15, organizm mój wyczerpany pięcioletnim pobytem w Obozach Koncentracyjnych zaczął odmawiać posłuszeństwa i w tej sytuacji idąc przez góryste tereny tej części Bawarii, koledzy często mi pomagali w drodze pod górę.

Po całodziennym marszu położyliśmy się spać w lesie, przytuleni

do siebie, owinięci jednym kocem głodni i bardzo zmęczeni.

Wstaliśmy o świcie trzęsąc się z zimna, głód dokuczał coraz bardziej, od trzech dni nie jedliśmy nic i siły nasze a szczególnie pozdzierane do krwi nogi nie pozwalały tak szybko i wytrwale jak byśmy chcieli iść do upragnionego celu.

Pod wieczór tego dnia dostrzegliśmy na skraju lasu zaorane pole, a na nim leżący worek ziemniaków przygotowanych do sadzenia. Tej okazji nie mogliśmy ominąć i Zbyszek podczołgał się bruzdą z przygotowaną torbą, a my obserwowaliśmy czuwając nad jego bezpiecznym powrotem z torbą pełną ziemniaków. Po kilku kilometrach Zbyszek rozpala ogień owijając patyczek wydartą z kurtki watoliną i dmuchając, tarł szybko i zapamiętale dwoma innymi drewniakami rozniecając w ciągu kilku minut ogień. Ziemniaki piekliśmy i jednocześnie gotowaliśmy w posiadanej menażce, po kilka razy w tej samej wodzie. Była to prawdziwa uczta, tym bardziej, że mieliśmy również "mięso" z pozbieranych w lesie ślimaków.

W dwie godziny później kładliśmy się spać, ale tym razem znajdujemy nazgarniany stos liści, w którym zanurzeni po uszy zasypiamy nie czując już głodu i nie marznąc jak poprzedniej nocy.

I znów następnego dnia o świcie ruszyliśmy w dalszą drogę pełni nadziei, szczególnie po wczorajszej obfitej kolacji.

Wreszcie po kilku godzinach marszu wdrapujemy się na jakieś wzniesienie i jak na dłoni widzimy w dole błyszczącą w wiosennym słońcu szosę biegnącą w kierunku Norymbergu, a na niej idący gęstego tłum ludzi z tobołkami na plecach. Po krótkiej naradzie postanawiamy wejść na szosę, uważaliśmy, że jeżeli wnieszemy się w ten niekończący się rząd ludzi idących w tym samym kierunku, nie zwrócimy niczyjej uwagi, a marsz po gładkiej i równej drodze był prawdziwym odpoczynkiem dla naszych pokaleczonych i utrudzonych nóg.

Naraz widzimy pędzące od strony Norymbergu samochody wojskowe a na maskach dostrzegamy litery U.S. W pierwszej chwili zdawało nam się, że to amerykański sprzęt wzięty przez Niemców, widzimy jednak, że przy kierownicy siedzi murzyn, przy trzecim i dziesiątym także murzyn, a na samochodach żołnierze w innych jak Niemcy mundurach.

To był prawdziwy szok, staliśmy przez chwilę patrząc na mijające z wielką szybkością samochody i za chwilę leżymy w rowie nieprzytomni ze szczęścia i wzruszenia.

To była wolność, która przyszła w porę, byliśmy u kresu sił. Mogliśmy to stwierdzić właśnie w tej chwili, kiedy gwałtowne odprężenie zważyło nas z nóg.

Była godzina 11-ta 19 kwietnia 1945 roku.

Nr archiwum 4.6.27.

KOŃCOWE DNI W GROSS - ROSEN I EWAKUACJA DO LEITMERITZ

W czerwcu 1943 r. razem z transportem więźniów z Montelupich z Krakowa razem około 3500 załadowano nas do wagonów bydłęcych zakratowanych w gorące lato i po kilku dniach przybyliśmy w okropnych warunkach do Gross-Rosen, gdzie otrzymuję numer 8816 po raz trzeci po zmarłym. Przebyłem gehennę budowy i rozbudowy kamieniołomów komanda Steinbruch, gdzie stale pracowało około 5000 więźniów. Ciężko chorowałem na trachomę, biegunki, jaglicę i inne. W kamieniołomach pracowałem na wszystkich funkcjach górniczych i przy obróbce kamieni.

Przebywałem na blokach 9, 17, 2. Przez Politische Abteilung byłem kilkanaście razy wzywany jako tłumacz dokumentów więźniów w języku francuskim i angielskim. Praca w kamieniołomach była najcięższa z uwagi na różne warunki atmosferyczne w lecie jak i w zimie. Pracowała tu również karna kompania z bloku 19 sławnego kapa Vogla. Ta pracowała wszystkie dni niedziele i święta.

W czasie śledztwa i po śmierci Dmochowskiego z bloku dwudziestego baliśmy się, czy Niemcy nie odnajdą jakichś innych nici i nie wykryją naszej organizacji. Mieli sieć szpiegowską, mieli blokowych kapów i konfidentów, a do konspiracji wciągnęliśmy już około trzydziestu więźniów, trudno więc było mieć pewność, że Niemcy nie napotkają jakichś śladów naszych.

Ostatnie tygodnie obozowe przed ewakuacją były szczególnie pamiętne dla tych, którzy przeżyli gehennę katorgi życia. Był styczeń, zaczęły się silne mrozy, nie spodziewaliśmy się korzystniejszych dla nas zmian, bo pora wydawała się nieodpowiednia do działań wojennych. W pierwszych dniach po przerwaniu frontu położenie Gross-Rosen wydawało się Niemcom miejscem leżącym bardzo daleko za strefą zagrożoną. Zaczęto przerzucać tu różne maszyny i inne "zdobycze" uratowane przed wrogiem. Tu też zamierzano ściągać ewakuowane obozy koncentracyjne, a między innymi i ogromny obóz oświęcimski. Wydano odpowiednie rozkazy. Dziesiątki tysięcy ludzi pognano przez mrozy i śniegi, tysiące ludzi zwożono autami i pociągami. Tymczasem armia radziecka poprzecinała te drogi po których planowano przemarsze czy przejazdy i wszystkie transporty przerzuconych więźniów przedzierały się do nas pieszo, o głodzie, której się dało. Sturmbannführer Richard Baer, komendant obozu Oświęcim I, który przybył do Gross-Rosen pięknym samochodem, długie dni nadaremno wyczekiwał swych więźniów i esesmanów, nie mając pojęcia co się z nimi dzieje i gdzie ich szukać w ogromnym zamieszaniu spowodowanym ewakuacją i paniką. Zresztą Gross-Rosen nie przyjąłby już tych dziesiątków tysięcy, które się do niego przebijały przez zaśnieżone tereny.

Wydano bowiem rozkaz przygotowania naszego obozu do ewakuacji. Pierwszym krokiem do niej było ściągnięcie do obozu macierzystego w Gross-Rosen wszystkich jego filii a tych filii rozrzuconych po Śląsku i po Łużycach, było wówczas około 100. Niektóre z nich liczyły grubo ponad kilka tysięcy ludzi, niektóre mniej, a nawet kilkaset więźniów. Niektóre filie bardziej wysunięte ku wschodowi, były ewakuowane jeszcze przed rozkazem na podstawie zarządzenia władz lokalnych.

Gdy wydano rozkaz likwidacji filii, ruszyły ku Gross-Rosen ty-

siące więźniów nie tylko ze wschodu i północy, ale z zachodu i południa, z okolic o wiele bezpieczniejszych niż Gross-Rosen. Transporty te musiały się przebijać przez niezliczone, gęsto zbite, bezładne masy uciekinierów. W tym czasie, a nawet już w ostatnich tygodniach poprzedniego roku, napływały do Gross-Rosen niemal codziennie liczne nowe transporty więźniów z licznych więzień i pomniejszych obozów położonych bliżej frontu.

Z niedużego obozu Gross-Rosen zmienił się teraz w obóz wielodziesięciotysięczny. Już wtedy w pierwszych dniach stycznia 1945r. mimo szybkiej rozbudowy naszego obozu zwanego w Gross-Rosen "filia obozu Oświęcimskiego", panował tu nieprawdopodobny tłok, a jeszcze większy głód, bo zredukowano wyżywienie do minimum. Prawdziwa katastrofa nastąpiła w obozie z chwilą rozpoczęcia styczniowej ofensywy przez armię radziecką. Ściągano pośpiesznie więźniów ze wszystkich filii w czasie największych mrozów, głodząc ich i zarazem mordując wszystkich, którzy nie mogli wytrzymać tempa marszu. Więźniowie w czasie długich wędrówek, ubrani w cienkie pasiaki, głodni, wystawieni na ostre mrozy szybko słabli i padali od kul esesmanów. W tym samym czasie pośpiesznie ewakuowano tysiące więźniów w Oświęcimiu, których również kierowano do Gross-Rosen w łodowate ulewy czy w siarczyste mrozy bez wyżywienia i w samych tylko więźniarskich pasiakach. W czasie takiego kilkudniowego marszu rozstawała się z życiem większa część tych, którzy wyszli z filii. W jednym z transportów, który opuszczając Oświęcim liczył trzy tysiące osiemset więźniów, doszło do Gross-Rosen tylko dziewięćset osiemdziesięciu. Podobnie było z innymi transportami.

Panował tłok niesamowity, brak żywności i kotłów by wydawać posiłki w odpowiednich terminach. Konsekwencje nie kazały długo na siebie czekać. Gwałtownie wzrosła śmiertelność nawet wśród starszych więźniów macierzystego obozu. Cóż dopiero mówić o tych, co ledwo dowlekli się tu, co prawda jeszcze żywi, ale goniący resztkami sił. Krematorium nie mogło podołać zadaniu. Już i poprzednio tworzyły się koło pieców krematoryjnych hałdy trupów, ale w czasie silnych mrozów, gdy liczba trupów dziennie dochodziła do trzystu pięćdziesięciu rzecz przybrała monstrualną wręcz sytuację. Zaczęto więc kopać w nowych częściach obozów ogromne rowy i wypełniać je zwłokami.

Od więźniów, którzy ciągle do Gross-Rosen napływali, wiedziałem jak wygląda ewakuacja i jak wyglądają obecnie drogi w Niemczech. Śmierć wyprzedzała wojnę.

Niezależnie od mrozu, głodu i kul ewakuacja przerażała tym, że oddalała się od wyzwolenia. Modliliśmy się aby do niej nie doszło. Jednocześnie na wszelki wypadek staraliśmy się do niej przygotować. Szyliśmy plecaki, naprawialiśmy buty, staraliśmy się o onuce i cieplejszą odzież. W tym czasie już nie pędzono nas do pracy, bo więźniowie byli głodem całkowicie wyczerpani i walili się z nóg na rannych apelach. Przerażenie ogarniało każdego na widok popełnianych mordów na setkach więźniów, aby w ten sposób pozbyć się niewygodnego balastu i kłopotów z wyżywieniem. W końcu stycznia przybył do Gross-Rosen transport więźniarek z Oświęcimia, który zajął blok 13. Wiedzieliśmy o tym transporcie, widzieliśmy więźniarki, ale nigdy nie dowiedzieliśmy się, co się z nimi stało.

W pierwszych dniach lutego 1945r. nastąpiła gwałtowna odwilż. Obóz Gross-Rosen w tym czasie składał się z dwóch części: starego obozu i nowego jeszcze nie wykończonego. W "nowym obozie" nie uleżały się jeszcze warstwy ziemi zsypywanej tu dla wyrównania terenu, drogi nie miały twardej nawierzchni, toteż wraz z obfitą odwilżą całe połacie terenu, przemierzane tysiącami więźniów - przemieniły się nagle w bajoro, z którego trudno się było wydostać człowiekowi słabemu czy choremu.

Tysiące więźniów odbierało sobie życie w tym czasie. Nie wytrzymywali głodu, zimna, chorób i rzucaли się na druty. Każdego dnia specjalna kolumna zbierała tych ludzi i odwoziła do krematorium. Wydawało się, że teraz zginiemy już nieuchronnie, że w ten sposób Niemcy chcą zatrzeć po nas ślady. Ogarniała nas apatia i rozpacz. I oto nagle w ostatnich dniach stycznia dociera do nas wiadomość, która niesłychanie nas poruszyła. Koledzy którzy przynosili kotły z zupą powiedzieli, że słyszeli wyraźnie strzały armatnie i długą detonację. Kto mógł, wyszedł na pole, aby się przekonać czy była to naprawdę detonacja, dochodząca z frontu czy z kamieniołomów. Kładliśmy się na ziemię i długo nasłuchiwalismy. A więc front się zbliżał, zbliżał na odległość zasięgu ludzkiego ucha. Rozjaśniły się nasze twarze, zamglone oczy zaczęły znów żyć i błyszczeć.

Następne wypadki rozwijały się już w bardzo szybkim tempie. Były między nami różne przypuszczenia co nas jeszcze spotka. Przepowiadano sobie wzajemnie najgorsze. Front dawał o sobie znać, że jest już coraz bliżej. Esesmani zaczęli palić nasze akta, niszczyć plany, fotografie, urządzenia wewnętrzne. Mówiono już o pewnej ewakuacji zdrowych zdolnych do marszu lub do transportu kolejowego. Chorzy mieli być pozostawieni na rewirach na pastwę losu. W tym czasie był już silny nalot na obóz.

W dniu 10 lutego wygoniono nas wszystkich na plac apelowy, przeliczono i oświadczone, że zostajemy przewiezieni do innego obozu koncentracyjnego transportem kolejowym.

Teraz nastąpiła właściwa ewakuacja około 5000 więźniów razem ze służbą nadzoru SS-czarni, kapowie i inni.

W Gross-Rosen przesiedziałem prawie dwa lata bez trzech miesięcy. W tym długim koszmarnym czasie dostępny mi świat ograniczył się tylko do terenu obozu a raczej ciężkich katorg w kamieniołomach. Tutaj panowały prawa - na zdrowy rozum - obłąkane i działały się rzeczy przechodzące ludzkie pojęcia. Zdawało się, że po tym wszystkim, co w Gross-Rosen widziałem i co tam przeżyłem, nie ujrzę nic, co może mnie zaskoczyć czy zdziwić. Już najbliższej jednak nocy miałem się przekonać, że są rzeczy gorsze, jeszcze potworniejsze od bezmyślnego okrucieństwa.

Zapowiadało się nie najgorzej. Na drogę dano nam po bochenku chleba i po małej puszce konserwy. W obozie dzienna porcja nie przekraczała ostatnio 1/8 kilograma bochenka i poza chlebem nie otrzymywaliśmy, prócz porcji zupy z brukwi na cały dzień, nic więcej. Okazało się też, że nie będą nas pędzić pieszo. Przerazał nas wymarsz pieszy. Do wymarszu pieszego nie byliśmy zdolni, po wygłodzeniu ostatnich tygodni i nie byłoby możliwości pokonania niejednych kilkunastu kilometrów pod naporem esesmanów czarnych i psów lous... und lous... i stałe mordercze strzały na tyłach kolumn pieszych.

Na placu przetrzymali nas jednak esesmani od ósmej rano do 4-tej po południu. Przez cały czas staliśmy w pogotowiu na rozkaz do wymarszu i to była męczarnia, gdyż byliśmy zupełnie wyczerpani. Zjedliśmy wszystek chleb, który wydano nam na cztery dni. Kiedy wieczorem ruszyliśmy w drogę, nikt już prawie nie miał nic do jedzenia. Moją dawkę racjonowałem bardzo oględnie - wiedząc, że mnie nikt nie dopomoże w tych ciężkich chwilach życia. Ledwo przekroczyliśmy bramę obozu, zaczęły padać raz po raz strzały esesmanów, skierowane we więźniów, którzy nie mogli nadażyć. Na odcinku od obozu do stacji kolejowej, liczącym cztery kilometry padło chyba ponad dwudziestu więźniów.

Po niecałej godzinie marszu znaleźliśmy się na stacji kolejowej. Tu nas zatrzymano, a po chwili zawrócono do obozu. Ta powrotna droga napełniła nas lękiem i myślami nie do opisanego. Teraz esesmani wystrzelają nas wszystkich. Dotarliśmy jednak do obozu. Czekaliśmy na

dalsze rozkazy a przy tym byliśmy zdruzgotani i oszołomieni jako ostatni więźniowie z tego obozu Gross-Rosen. Tymczasem front się zbliżał coraz bardziej. Wojska wyzwolenicze nie mogły być dalej niż dwadzieścia lub trzydzieści kilometrów. Byliśmy bardzo niespokojni. Zdawaliśmy sobie sprawę z sytuacji. Ze stacji kolejowej zawrócono nas dlatego, że uszkodzone były tory kolejowe, nie było również wagonów, a na pieszą ewakuację było już za późno.

Około godziny dwudziestej pierwszej był silny nalot. Bomby spadały aż trzeszczały baraki. Baliśmy się a jednocześnie cieszyliśmy, bo może jutro lub jeszcze tej nocy będziemy wolni. Całą noc nie spaliśmy. A blokowi ciągle zapowiadali, że lada chwila wymaszerujemy w drogę. Około drugiej w nocy wypędzono nas na plac apelowy, ustawiono znów piątkami i w tempie przyspieszonym pędzono w kierunku stacji kolejowej. Byliśmy tak przemęczeni, tak wszystkim wystraszeni, że maszerując w kierunku stacji nawet nie zwracaliśmy uwagi na strzały, na krzyki i jęki ludzi naszych kolegów - więźniów, których bito bez litości. Dotarliśmy w tym marszu szkieletów do stacji i ujrzelśmy wagony.

Nie zauważyliśmy już, że wagony węglarki są otwarte, lub co najwyżej mają tylko boczne ściany nie wyższe ponad wzrost człowieka, nie zważaliśmy na bicie i popychanie byle tylko jechać. Wsadzono nas na platformę około stu czterdziestupięciu, dodając jeszcze uzbrojonych w broń automatyczną i granaty trzech esesmanów eskorty. Esesmani odgradzili się od reszty więźniów kordonem z niemieckich kryminalistów z zielonymi trójkątami, wśród których nie brak było i prominentów. Rej wodził wśród nich morderca Maks Weiss, postrach obozu, zbrojny, podobnie jak dwóch czy trzech jego towarzyszy w długi nóż rzeźniczy. To esesmani zaopatrzyli na drogę najbardziej zaufanych członków prominentkiej "leibgwardii".

Padał wówczas deszcz ze śniegiem, a zarazem przymarzało, na nasze głowy i ramiona, ale kto by zwracał uwagę na takie drobnostki. Nieraz moknęliśmy w pracy i na apelach i byliśmy do tego przyzwyczajeni. Staliśmy ciasno jeden przy drugim, tak że wilgoć parowała z nas niby z rozgrzanego kotła. Pociąg biegł wykopem wzdłuż wyżej położonej szosy. W niesłychanym chaosie ciągnęły szosą tłumy ludzi. Uciekały całe rodziny, całe miasta. Uciekano samochodami, wozami i rowerami a najczęściej pieszo. To kobiety popychały przed sobą wózki dziecięce, wyładowane walizami, garnkami i betami, gdzie indziej para starszuchów ciągnęła za dyszelek drabiniasty wózek, jakim się zwozi jarzyny, obok dreptała dziewczynka z lalką i kanarkiem w klatce. Był to widok niesamowity, czego nigdy w życiu nie zdoła odtworzyć żaden film i pożoga życia. Taki sam tłum, rozgorączkowany i strwożony, cisnął się po stacjach kolejowych lub tłoczył w pociągach, jakie nas wyprzedzały. Wszystko to było smutne, trudne do zrozumienia za co los wygonił na poniewierkę siwą starowinę czy matkę z gromadką dzieci. Ich cierpienie budziło głębokie współczucie u nas. Z każdą godziną wjeżdżaliśmy w okolice coraz mniej ogarnięte paniką, oddalaliśmy się od huku dział. Odechciało się patrzeć bo rozboleły nogi. Pod wieczór każdy marzył o tym, aby usiąść, przycupnąć na plecaku, niektórzy, bardzo już słabi, leżeli pomiędzy nogami towarzyszy nie zważając ani na brud, ani na niebezpieczeństwo zdeptania ich. Jak wiadomo człowiek, dopóki stoi potrzebuje daleko mniej miejsca niż wtedy, gdy siedzi, a coś dopiero gdy leży.

W miarę jak nogi słabły a coraz więcej nas obsuwało się na podłogę, wzrastał napór ludzkiej masy na łańcuch prominentów i spychał go na esesmanów i ich legowiska. We dnie kończyło się na uderzeniach kolbą tych, którzy stali najbliżej kordonu i którzy, sami naciskali z kolei bezpośrednio na Niemców. Ale gdy zapadł zmrok, prominenci sięgali po noże, esesmani ze wzniesienia terroryzowali nas lufami

automatów, zaś Maks Weiss chwycił najbliższych stojących, dźgał ich nożem z wprawą zawodowego rzeźnika, a następnie wyrzucał zwłoki z wagonu, uważając, by nie padały na tor, a na nasyp. Zaczęła się rzeźnia, tym straszniejsza, że systematyczna. Początkowo Maks pomagał sobie karabinem, ogłuszał ofiary kolbą, nim je wykończył nożem, później jednak "pracował" już tylko nożem. Chwycił, wciągał za kordon i zabijał. Stałem przy przeciwległej ścianie. Odgradzał mnie od Weissą tłum więźniów. Panowała cisza niesamowita, cisza trudna do zrozumienia dla człowieka, który nie był w obozie. Normalną reakcją człowieka na widok mordu byłby krzyk, protest, atak na mordercę albo ucieczka, a nawet zaciepka gwałtowna samoobrona. Obóz wyzbył takich odruchów, gdyż panowało tam bezprawie i przemoc, którym nie można było się przeciwstawić. Obóz stanowił wyższy stopień opanowania uczuć, myśli i odruchów. Solidaryzowanie się z ofiarą czy spieszenie jej na pomoc nie dawało w obozie nic prócz zwiększenia ilości ofiar. W każdym baraku więźniowie nieraz byli świadkami morderstw dokonywanych przez prominentów. Tak samo działo się w czasie pracy. Za jakikolwiek odruch protestu i obrony esesmani wystrzelali by nas wszystkich. Maks Weiss mordował wśród milczenia i słychać było krzyk ofiary, górujący nad sapaniem lokomotywy. Potem prominenty z rozmachem wyrzucali zwłoki. Po krótkiej przerwie, w czasie której prominenty zabawiali się zwłokami, Weiss chwycił następną ofiarę. Kiedy zbliżaliśmy się do jakiejś stacji lub przejeżdżaliśmy obok większej miejscowości, Maks Weiss przerywał swą "pracę", ale zaczynał ją od nowa gdy pociąg znów znajdował się w polu. Świadcami tych mordów byli między innymi: inż. Antoni Gładysz z Tarnowa, inż. Sopoćko z Warszawy, Stefan Brodziak z Łodzi, Zygmunt Zajaczkowski z Krakowa, Marian Wlazło z Sieradza i inni. Weiss zarządził w ciągu jednej nocy pięćdziesięciu sześciu więźniów z naszego tylko wagonu.

Mordował jeszcze drugą noc, ale już z mniejszym zapałem. Weissowi i esesmanom chodziło tylko o miejsce do spania i pełną wygodę. Po nocy Weiss polecił więźniom oczyścić podłogę w wagonie ze skrzepłej krwi i śmieci. Trupy ułożone przy ścianie były na najbliższym postoju wyrzucane na przysmę a jeszcze dogorywający byli strzelani przez porządkowych. My gnietliśmy się na połowie wagonu, a drugą połowę zajmowali esesmani i ich pomocnicy.

Pierwszą noc podróży staliśmy na bocznicę kolejowej w Dreźnie, gdzie z 11 na 12 lutego był olbrzymi nalot amerykański na Drezno, gdzie noc była dniem do samego rana. Nasza ewakuacja kolejną trwała, jeszcze dwa dni. W tym czasie dotarliśmy do stacji Flossenbürg, gdzie podzielono nasz transport na dwie części, jedna została rozładowana do obozu we Flossenbürgu, a druga udała się w dalszą drogę do Leitmeritz-Komando Flossenbürg. Czas był dżdżysty i piekielnie zimny. Przez cały czas nie otrzymywaliśmy ani odrobiny ciepłej strawy i nie wolno nam było opuszczać naszej części platformy. Trwaliśmy w ciągłej obawie, czy Weissowi nie przyjdzie znów ochota zabawić się w zarzynanie ludzi.

Mokrzy, zziębnięci, potwornie głodni, jechaliśmy przez jakieś góry i lasy, przez jakieś miasta i miasteczka o niemieckich nazwach, które nam nic nie mówiły. Pociąg włókł się godzinami stawał na bocznych torach większych i mniejszych stacji i stacyjek, wśród różnych innych pociągów ewakuacyjnych, pociągów wojskowych, pociągów z węglem i jakiś tam jeszcze towarów. Nie wiedzieliśmy dokąd jedziemy.

Po dalszych trzech dniach znaleźliśmy się na stacji o nazwie Leitmeritz. Padł rozkaz wyładowania transportu. Przy wyładowaniu i ustawieniu w kolumnę zabito na stacji około trzystu więźniów. Potem przez całe popołudnie dwa duże wozy przewoziły trupy z dworca do obozu. Przy tej makabrycznej robocie byłem od początku do końca. W ten sposób pozbyto się starych i słabych.

Transport, kiedy wyruszył przed trzema dniami z Flossenburgu liczył dwa tysiące pięćset ludzi. Teraz zmalał do niespełna tysiąca pięciuset. Tysiąc rodzin winno otrzymać depesze, że ich bliski zmarł na serce czy zapalenie płuc... Była to już połowa lutego 1945.

Leitmeritz leżał około 200 kilometrów od Flossenburga. Komentantem obozu był Hauptsturmführer Heiling i Lagerführer Panicke – bestia w ludzkiej skórze, który więźniów przeciążał pracą, chcąc ich w jak najkrótszym czasie pozbawić sił i przekazać do zadołowania, często żywcem, w specjalnych dołach, bo w Leitmeritz krematorium nie było.

Życie tu nie różniło się od życia w Gross-Rosen, wyglądało podobnie jak we wszystkich obozach koncentracyjnych, niezależnie od ich nazwy. Przeszliśmy tu zresztą w zwartej grupie, więc z dawnymi prominentami i nawet esesmanami. Wspomnę jednak o kilku charakterystycznych dla Leitmeritz szczegółach dotyczących pomieszczenia, zamaskowania tego obozu i rodzaju pracy.

W Leitmeritz ulokowano całą naszą grupę nie w blokach i barakach, jak to było w Gross-Rosen, lecz w dawnej stajni wojskowej, ogromnych rozmiarów zabudowanej 5-piętrowymi łózkami. Gdzie niedługo było trochę barłogu. Nie dano nam ani słomy, ani koców, a w pierwszym dniu nawet jedzenia, poza porcją czarnej kawy, której zresztą zabrakło dla pożywienia transportu. Przykrywać musieliśmy się kocami przywiezionymi z Gross-Rosen, ubabranymi w czasie transportu w krwi zarżniętych towarzyszy i w naszych odchodach. Kocy te śmierdziały nawet po dezynfekcji i wzbudzały odrazę. Do tego jeszcze stajnia była zawieszona nad wszelkie pojęcie i nie trzeba było długo czekać, jak począł nas dziesiątkować tyfus plamisty. Kto wyzdrowiał, wyzdrowiał chyba cudem, bo chorzy pozbawieni byli najprymitywniejszych nawet pomocy.

Pracowałem krótki czas na terenie obozu w komandzie budowlanej jako murarz razem z kolegą śp. inż. Edwardem Dębickim z Wrocławia. Później przeniesiono mnie do drażenia tuneli podziemnych w odległości 2 kilometrów. Praca ciężka z kilofem i świdrem do borowania dziur do odstrzału. Krótki czas byłem zatrudniony przy składaniu trupów do magazynu i załadunku na wozy konne do transportu poza obóz do zadołowania. Przy tej robocie miałem nieraz okazję z trupów usunąć złote blomki za które przy robocie w tunelu podziemnym uzyskiwałem, cebulę, tłuszcz koński, ziemniaki dzieląc się z innymi więźniami z brygady trupiarni.

Niestety i mnie nie ominął tyfus plamisty. Kilku kolegom zawdzięczam moje przeżycie, gdyby nie ich opieka tak troskliwa i zapobiegliwa dostarczając mi dużo picia gorącego, rosół z psa esesmańskiego i kota itp., i opieka lekarza, którego nazwiska nie pamiętam z Krakowa, byłbym wśród innych już zadołowany.

Po tyfusie nadal przekazano mnie do podziemi na roboty górnicze i zawsze była możliwość zorganizowania ziemniaków z kopców, pewnego pożywienia, co było narażeniem życia.

Leitmeritz należał do tych dziwnych obozów, które zaczęły się mnożyć w Niemczech po uzyskaniu przez aliantów przewagi w powietrzu. Wtedy niemiecki przemysł zbrojeniowy zaczął się przenosić pod ziemię. Kazano więźniom kuć w skałach wielokilometrowe kazamaty, instalowano w tych lochach światła elektryczne, urządzenia wentylacyjne, stawiano precyzyjne maszyny o napędzie elektrycznym. Pod nadzorem specjalistów więźniowie wyrabiali skomplikowane silniki, dalekomierze, tajemnicze mechanizmy do rakiet i inne świeżo wynalezione dziwa. Produkcja ta stanowiła ścisłą tajemnicę wojskową. Starano się otoczyć jak najściślejszą tajemnicą sam fakt podziemnej fabryki. Wszystko co dotyczyło pracy tej fabryki, uważano za naj-

ściślejszą tajemnicę. Więzień, który pisał słówko o tym co dzieje się pod ziemią, stawał się winnym zdrady wojskowej tajemnicy. Długość podziemnych pomieszczeń przekraczała sześćdziesiąt pięć kilometrów. Nie wolno było podawać w korespondencji nazwy obozu, lecz miejscowość Lobozice, odległą o sześć kilometrów od obozu. Jeśli więzień uciekł z obozu a został przez Niemców schwytany co jednak nie zawsze się udawało wieszano go publicznie nie za ucieczkę /jak to było w Gross-Rosen/, lecz za szpiegostwo.

Kiedy Rosjanie podeszli pod Drezno tj. około 90 kilometrów od nas komendant obozu we Flossenburgu rozkazał naszemu komendantowi poczynić przygotowania do zlikwidowania całej podziemnej fabryki wraz z więźniami. Wiedzieliśmy też w jaki sposób zamierza to zrobić nasz Hauptsturmführer. Kazał mianowicie podminować wszystkie wyjścia z podziemi. Mieliśmy być wprowadzeni do tuneli i tam żywcem pogrzebani. Plan był przemyślany co do szczegółów i Hauptsturmführer posłał go do aprobaty komendantowi obozu Flossenburg. Na szczęście dla nas, Flossenburg zajęli już Amerykanie, a nasz komendant nie miał odwagi na własną odpowiedzialność wykonać tego planu który sam zaprojektował i który by wykonał, gdyby mu kazano.

Wybrał inny sposób. Zaczęto wysyłać więźniów transportami do innych obozów, na południe i na zachód. W ten sposób wysłano już w połowie kwietnia osiem tysięcy więźniów. Żaden z tych transportów nie dotarł do miejsca przeznaczenia, bo obozy, do których je kierowano, albo już nie istniały, oswobodzone przez sprzymierzonych, albo też przeniosły się ze strefy zagrożonej gdzie indziej. W wielu wypadkach skierowano transporty więźniów na ślepe tory, a tam głód i eskorta dokonały reszty. Trzy tygodnie później armia radziecka spotykała na stacjach zaplombowane wagony, w których znajdowały się szkielety ludzi. Byli tam więźniowie z Leitmeritz. Większość z nich, nie żyła. Blisko cztery piąte więźniów wysłanych w kwietniowych transportach stanowili Polacy. Z tych ponad sześciu tysięcy więźniów, których wywieziono w kwietniu z Leitmeritz na wędrowną po ślepych torach rozlatującej się trzeciej Rzeszy, nikogo już nigdy nie spotkałem.

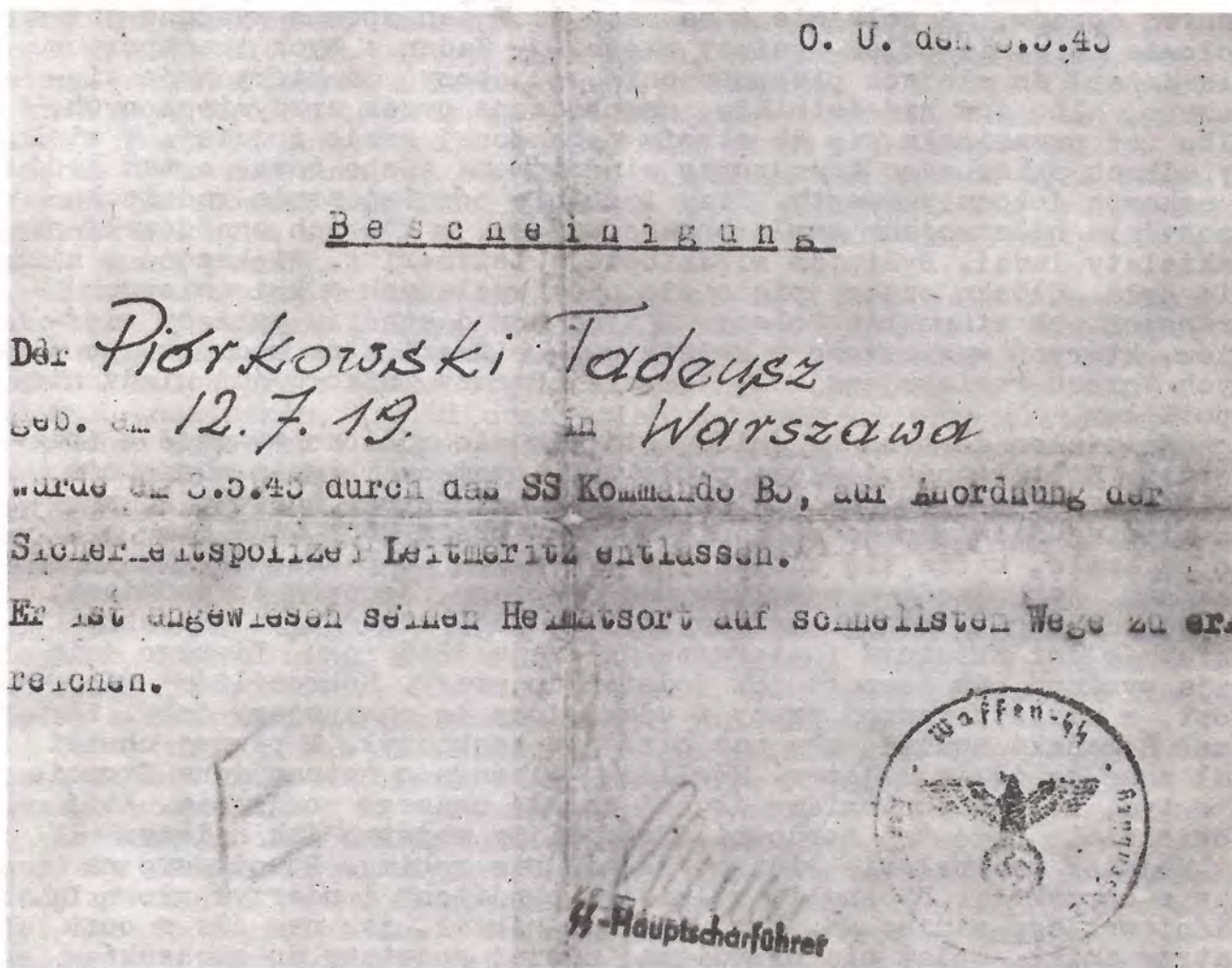
Należałem do tych więźniów, których nie zdążono wywieźć z Leitmeritz. Zostało nas jeszcze około 4000 tysięcy i życie nasze nie zmieniło się ani trochę. O tej samej godzinie nas budzono, tak samo bito za niewłaściwe złożenie zawszawionego koca, tak samo pędzono na apele, które się odbywały z tym samym co zawsze ceremoniałem. Tak samo jak przedtem wysyłano nas do pracy, jednych do podziemi, innych do robót drogowo-mostowych. W takiej atmosferze przeszły ostatnie dni kwietnia i pierwsze dni maja 1945 roku. Piątego dnia maja wysłano nas jeszcze jak codzień do pracy. Schroniliśmy się pod most, w miejscu naszej pracy i udawaliśmy że zasypujemy doły. Zbyszek Romański uważał, aby nas nikt nie zaskoczył. W pewnej chwili dał znać że idzie majster. Mówiliśmy właśnie o sytuacji na froncie i o tym, że nie powinniśmy dłużej znosić naszego poniżenia. Ktoś powiedział: Dość tej mordowni. Przyjmijmy majstra jak należy.

Majster zachnął się widząc, że nic nie robimy. Rzucił się na nas z okrzykiem: "Schnell, polnische banditen" i uderzył głową Dr. Wiśniewskiego raniąc go. Kiedy jednak ujrzał, jak nam źle z oczu patrzy znikł. Wolał nie przeciągać naszej podstawy do zaczepki. Strażnik się gdzieś zapodział, nasz kapo uznał za rzecz najbardziej wskazaną uciąć sobie drzemkę, vorarbeitera nasza grupa, złożona ze starych weteranów nie uznawała, więc rozpaliliśmy ognisko, żeby się ogrzać i osuszyć. Do naszego ognia zaczęli ściągać więźniowie z innych grup roboczych. Na niektórych twarzach widać było zdziwienie a nawet lęk. Czy rzeczywiście już można? Niejedni potwierdzali, że można.

Podszluchałem rozmowę dwóch majstrów. Mówili, że rząd niemiecki zgodził się na bezwzględną kapitulację. Słyszycie, poddał się bezwarunkowo. Ci majstrowie na naszych oczach zerwali odznaki niemieckie. Czy mogła być wiadomość bardziej upragniona, goręcej oczekiwana. Nagle usłyszeliśmy gwizdek na zbiórkę. W ulewnym deszczu ustawiliśmy się piątkami i pomaszerowaliśmy do obozu. Przy bramie straż zapowiedziała, że nie wolno nam wchodzić do baraków. Mamy się ustawić na placu apelowym. Czego od nas chcą? A może przyczepią się za ognisko i stanie pod mostem? Tymczasem zaczęły się dziać rzeczy niezwykle. 8 maja rozpoczęto wydawać zaświadczenia na drogę, a część więźniów nie czekając opuściła już obóz w radości udając się w drogę pieszo w kierunku Pragi, nocując zbiorowo po majątkach na słomie i byliśmy przez ludzi czeskich dokarmiani.

W czerwcu 1945 roku powróciłem do Krakowa, skąd na Dolny Śląsk z grupą operacyjną z polecenia Zjednoczenia Przemysłu Górniczego z Katowic w ramach poleceń przyjmowaliśmy zakłady górnicze jak: miedź, glinki, kamieniołomy. W celu przekazania takowych do eksploatacji.

Nr archiwum 4.6.71,



Zwolnienie z obozu w Leitmeritz wydane w dniu wyzwolenia 8 maja 1945 roku Tadeuszowi Piórkowskiemu z Warszawy. Nr archiwum 1.5.6.8.

EWAKUACJA DO HERSBRUCK

Pamiętam ten dzień jak dziś, było to 15 lutego 1945 roku. Gross-Rosen już opuściła większość więźniów, nie pozostało nas już dużo w obozie, może około 2000. Od kilku dni słychać było działa artyleryjskie. Opierając się o barak czuło się jak drżały plecy, ziemia drżała od huku dział. Chodziły pogłoski, że Polska jest już wolna i że Niemcy uciekają w popłochu. Cieszyliśmy się i byliśmy pewni, że już wkrótce zostaniemy uwolnieni. Niestety postanowiono nas ewakuować. Wyprowadzano więźniów partiami z obozu, lecz nie mieliśmy pojęcia dokąd, przypuszczaliśmy tylko, że do innych obozów w głąb Rzeszy.

15 lutego 1945 roku około godziny piątej po południu ustawiono nas w kolumny po pięć osób, kazano się wziąć pod ręce tak, że piątki zostały splecione razem i zabroniono kategorycznie rozłączania się by nie rozrywać szeregów. W ten sposób wyszliśmy bramą z obozu. Przypuszczam że był to ostatni większy transport więźniów z obozu. Krótka była droga z obozu do dworca kolejowego w Gross-Rosen, ale była zarazem ostatnią drogą niektórych więźniów. Byliśmy głodni. Gdy ktoś nierozważny zobaczywszy coś na drodze, puszczał towarzysza by to podnieść zostawał natychmiast zastrzelony. Przydroża po obu stronach drogi gęsto były zasłane trupami z kolumn, które przed nami wyszły z obozu. Z naszego transportu też nie mało zostało na drodze. Staraliśmy się nie rozrywać, nie puszczać jeden drugiego, wiedzieliśmy czym to groziło.

Dotarliśmy do dworca. Załadowano nas do podstawionych wagonów towarowych odkrytych. Straszna to była podróż. Wepchnięto nas dziewięćdziesięciu pięciu do jednego wagonu i kazano nam ścisnąć się pod jedną boczną ścianą wagonu. Do wagonu weszło trzech Niemców z karabinami, którzy wnieśli również ławkę, ustawiając ją po przeciwnej od nas stronie. Jeden z Niemców wyciągnął z kieszeni białą kredę i przedzielił nią wagon na dwie części, dając nam do zrozumienia byśmy nie ważyli się jej przekroczyć. W ten sposób załadowano wszystkie wagony przy towarzyszących krzykach. Gdy pociąg ruszył, kazano nam przykucnąć. 95 ludzi na jednej połowie wagonu stwarzało ciasnotę a przy kucnięciu tłok zrobił się niesamowity, zaczęły się dziać rzeczy niepojęte. Więźniowie mdleli, dusili się, jęczeli. Znalazłem się przed białą linią przedzielającą wagon, na wprost posterunków. Napór z tyłu był straszny. Wyteżałem wszystkie siły, by nie zostać wypchniętym, a nogi zaczęły odmawiać posłuszeństwa. W pewnej chwili, ktoś prawdopodobnie wstał, bowiem jeden z posterków strzelił. Zakotłowało się w tyle. Poczulem straszne pchanie do przodu, trzeba było nadludzkiego wysiłku aby się utrzymać. Jak długo potrwa ta straszna jazda, jak długo będzie można to wytrzymać? A jechaliśmy już jakieś dwie godziny.

Poczułem, że nie wytrzymam, zaczynało mi ciemnieć w oczach. Wtedy postanowiłem zaryzykować. Niech się dzieje co chce. Ci w tyle myślałem, mogą się oprzeć jeden o drugiego, a my z przodu musimy utrzymać napór z tyłu, walcząc z białą linią. Ponieważ byłem drugi od bocznej ściany wagonu, powolutku posuwając się nieznacznie po pół stopy, przesunąłem się poza białą linię i oparłem się o ścianę wagonu. Niemcy zobaczywszy mnie poza białą linią, spojrzeli po sobie. Porozumieli się bez słowa. Ścierpła na mnie skóra ze strachu, ale widocznie wzruszyło ich to, co działo się w tyle, bo dali mi spokój. Zachęcony moim powodzeniem jeden z więźniów, przykucał pomalutku do mnie, popychając mnie jeszcze dalej do przodu. Po drugiej stronie wagonu, w ten sam sposób usadowiło się dwu więźniów. Niemcy w dalszym ciągu tak się zachowywali, jakby tego nie zauważyli. Poczułem strach, gdy tak dalej będę popychany w stronę Niemców, to może być tragicznie. Niestety nie miałem na to wpływu. Ale nikt już nie zdobył się na odwagę, by się wysunąć poza białą linię, bowiem gdy tylko Niemcy spostrzegli czyjś zamiar do przesunięcia się podnosili karabiny do strzału, co groziło niechybną śmiercią. My czterej, którym się udało zdobyć miejsca pod ścianą, mieliśmy wielkie szczęście. Z tego miejsca, gdzie obecnie opierałem się o ścianę wagonu, miałem więcej możliwości zobaczenia tego, co się działo pomiędzy więźniami. Ci z więźniów, którym nogi odmawiały posłuszeństwa mdleli i wywracali się. W takiej chwili zaczynało pomiędzy więźniami brakować miejsca, ponieważ mdlejący potrzebowali go więcej od innych. Zaczynało się straszne popychanie, w momencie kiedy nieprzytomny dosięgnął podłogi wagonu zaczynało się uspokajać. Ci więźniowie którzy byli w jego pobliżu zmuszeni zostali na nim przykleknąć względnie usiąść. To była jego zguba. Umierał przez uduszenie. Czym dalej się czas posuwał, tym luźniej robiło się między więźniami, gdyż więcej więźniów nie wytrzymywało, bo coraz więcej brakowało sił.

Przeżyliśmy Gross-Rosen, ale nie wszystkim jednak było pisane dotrzeć do końca. Umierali straszną śmiercią w wagonie towarowym poza obozem. W prawym rogu wagonu po mojej stronie coś się działo, nie można się było domyśleć o co tam chodziło. Widać tylko było, że więzień, który tam kucał miał wokół siebie więcej miejsca od innych. Więźniowie się ściskali, mdleli, dusili, a od niego się cofali, jak ci z przodu od białej linii przedzielającej wagon. Nadeszła chwila, że pociąg wjechał widocznie w dolinę, bowiem mimo że siedzieliśmy w kucki, zobaczyliśmy w oddali wielki oświetlony kwadrat. Domyśliłem się że to jakiś obóz i że widocznie do niego zmierzamy.

W pewnym momencie jeden z więźniów z samego środka umęczonych kolegów, widocznie zobaczył również oświetlony kwadrat. Musiały go opętać straszne myśli, nerwy nie wytrzymały i z wielkim krzykiem wstał i po plecach i głowach kolegów rzucił się do ściany wagonu z widocznym zamiarem wyskoczenia. Jeden z Niemców bez namysłu strzelił, a on nawet nie zdążył się złapać krawędzi wagonu, obsuwając się na kucających kolegów. Straszna to była przeprowadzka do innego obozu. Cały czas słychać było pojedyncze strzały. Widocznie w innych wagonach działo się podobnie.

Wreszcie dojechalśmy. Nie wolno jeszcze było wstać. Gdy wagony otwarto, Niemcy, którzy nas konwojowali wyszli z wagonu. Gdy opuścili wagon, kazano nam wstać, wychodzić i ustawiać się

w szeregu po pięciu. Podobnie było z innymi wagonami. Stojąc kilkanaście metrów od wagonu, widziałem jak wywlekano z wagonu nieżyjących. Czynność tę wykonywali miejscowi więźniowie. Odliczono nas. Nie do wiary, aby w odkrytym wagonie pod gołym niebem tylu ludzi mogło się udusić. Pozostało nas z jednego wagonu 68 żywych, reszta nieżyjących została załadowana na ciężarówki i wywieziona w niewiadomym kierunku. Z chwilą gdy wszystkie wagony zostały opróżnione, ruszyliśmy w stronę obozu.

O godzinie jedenastej przed północą dotarliśmy do obozu. Było to komando obozu koncentracyjnego Flossenburga - Hersbrück. Tam dowiedziałem się, że więzień który tak swobodnie siedział w rogu wagonu w czasie transportu, miał nóż i ktokolwiek na niego naparł, zostawał tym nożem ugodzony. Następnego dnia został przez samych więźniów wykonany. Taki przebieg miała moja ewakuacja, krótka bo trwająca około sześciu godzin z obozu Gross-Rosen, ale niosła ze sobą zgrozę i śmierć. Nr. archiwum. Gross-Rosen. 4.6.76.



Dla nich skończył się etap ewakuacji, pozostali w wagonie uśmierceni głodem, mrozem . . .

Nr archiwum 1.5.1.17.



Tempo pracy osłabionych więźniów wyznaczał często kij w ręku oprawcy.
Po takim ponagłaniu droga do rewiru lub do krematorium szybka.

ze zbioru H.Uchmana/

